

Byłem numerem...

historie z Auschwitz

Kazimierz Piechowski

Idzie, mojej żonie



Wydawnictwo Sióstr Loretańek
Warszawa 2010

Kazimierz Piechowski:

inżynier, podrotnik; były więzień obozu koncentracyjnego Auschwitz-Birkenau, numer obozowy 918.

Od drugiego roku życia mieszkałem w Tczewie. To miasto nad Wisłą, wówczas miasto graniczne. Od północy za Wisłą było Wolne Miasto Gdańsk, a zaledwie kilka kilometrów w górę rzeki, po drugiej jej stronie, rozciągały się Prusy Wschodnie – *Ostpreußen*. Tu dorastałem. Tu, między szkołą a domem rodzinnym, pochłaniało mnie harcerstwo. Byłem harcerzem ciałem i duszą, a bycie harcerzem znaczyło dla mnie wiele – znaczyło kochać swoją Ojczyznę.

Pamiętam, że wtedy przyjaźniłem się z Erwinem Schultzem, Niemcem, synem biednej wdowy, trudniącej się praniem bielizny. Erwin był dobrym kompanem i świetnym pływakiem. W dziewiątym roku życia obaj przepłynęliśmy Wisłę na drugi jej brzeg. Nawet starsi od nas koleczy z naszej paczki nie potrafili tego dokonać.

Moja mama bardzo polubiła Erwina. Codziennie przychodził do nas, kłaniał się mamie i witał ją nie bardzo poprawną polszczyzną: „Dzień dobry, pani Piechowska”. Podobnie mówiłem ja do jego mamy, łamaną niemiecką: „Guten Morgen, Frau Schultz”*. Lecz mimo tego, my z Erwinem, rozumielśmy się dobrze w obu językach. Wisła była czymś wspólnym dla nas. Romantyczna, rozlewna i taka nasza.

* *Guten Morgen, Frau Schultz.* (niem.) – Dzień dobry, pani Schultz.

Urządaliśmy z kolegami biegi do Gorzędzienia, małej wioski oddalonej o sześć kilometrów w górę rzeki od Tczewa. Tam na wysokiej skarpcie, nad brzegiem Wisły, stał maleńki, lecz piękny, stary kościółek. Stamtąd był uroczy widok na rzekę i ciągnące się daleko równiny – *Ostpreußen*.

Ksiądz, duchowny z tego kościółka, widywał nas tam często wpatrzonych w daleki horyzont. Myśle, że polubił nas urwisów. Zawsze dawał nam coś do zjedzenia, pytał o to i owo, poglaskał po czuprynie, po czym my chóralnie: *Szczęść Boże!* – i hajda w dół, do rzeki.

Płynąc z prądem to niewielką sztuką. Bywało, że spotykaliśmy tratwy płynące do Tczewa i dalej do Gdańska. Flisacy pozwalali nam wsiadać na tratwę i tak, śpiewając wespół z flisakami, dopływaliśmy do Tczewa. Plusk, plusk z tratwy i w parę minut byliśmy na brzegu.

Były to najpiękniejsze lata naszego życia. Później drogi nasze z Erwinem się rozeszły, bo on nie miał środków na opłacenie czesnego do gimnazjum.

Nadszedł koniec sierpnia roku 1939. Kompanie batalionu opuszczaly koszary. Maszerowały w ciemność nocny. Atmosfera napięta, nadciągały ciemne chmury.

I... pierwszy dzień września. Godzina piąta. Na miasto spadały pierwsze bomby. Nasi na Wisłę wysadzili most. Zaczęło się.

Po tygodniu wracali do swoich domów ci, którzy je opuścili, ewakuując się przed wrogiem. Nie wszyscy. Sporo zostało w ziemi, tuż przy rowach wzdluz dróg, gdzie dopadły ich *sztukasy*. Wróciłem i ja. Niestety, nie wrócił ojciec. Nie wiedzieliśmy, czy żyje. Był pracowni-

kiem Polskich Kolei Państwowych i w końcu sierpnia, jako maszynista parowozu, został powołany do służby pod rozkazy wojska. W tym czasie wydano nakaz reje-strowania się w *Arbeitsamt* – urzędzie pracy. Dostałem przydział pracy przy usuwaniu zniszczonych przęsel mostu.

Most na Wisle był wysadzony, więc Niemcy postanowili w Knybawie, cztery kilometry w górę rzeki, zbudować nowy. Przez pierwsze dni wywoziłem taczka gruz na przymię przy drodze, skąd zabierano go ciężarowymi samochodami. Było ciężko, lecz dla mnie, zdrowego, silnego harcerza to kaszka z mleczkiem.

Pewnego dnia kręcił się i spoglądał na pracujących starszy już Niemiec. Przystawał, przypatrywał się, lecz nic nie mówił. Był w roboczym ubraniu, co oznaczało, że pracował tu jak wszyscy inni. Podeszedł do mnie i skinął ręką, żebym przestał ładować taczka. „Ki diabel, czy ma fryc jakies pretensje?” – pomyślałem.

A on śmieje się i pyta:

– Czy mówisz po niemiecku?

– Tak – odpowiadam.

– Będziesz pracował ze mną. Wysadzam resztki zwalonych przęsel. No, chodź.

Poszedłem za nim. Odtąd byłem pomocnikiem *Sprengmeistera* – wierciłem otwory w bryłach betonu, do których on wsadzał *domeryt* – materiał wybuchowy – i łączył go lontem z kapsułką zapalającą, po czym ja zapieiałem otwór gliną. Kiedy wszystko było przygotowane do wysadzenia, brał z bardzo poważną miną trąbkę i dawał sygnał ostrzegawczy przed wysadzeniem. Robotnicy chowali się, gdzie kto tylko mógł. A po chwili na-

stępował huk. Betonowe bryły rozpadały się na kawałki. Krótka przerwa i wszystko od nowa.

Mój majster był baptystą. Bardzo religijny. Zawsze przed rozpoczęciem pracy zęgnął się zamasyżować krzyżem na piersiach. Chyba polubił mnie, bo codziennie przynosił mi śniadanie.

Machina gestapowska i tak zwana V kolumna już działały. Gestapowcy wylawiali inteligencję, członków różnych związków i organizacji. Na placu koszarowym rozstrzeliwano dzień po dniu nauczycieli, urzędników państwowych, księży. Wściekli, miejscowi Niemcy dostarczali do gestapo coraz to nowe wykazy Polaków, rzeźkomych wrogów Niemiec. Wystarczyło, że komus się lepiej powodziło lub miały miejsce niewinne zatargi między dziećmi sąsiadów – Polaków z Niemcami – by znaleźć się na liście wrogów Rzeszy Niemieckiej. Egzekucje więc nie ustawały, a groza i strach królowały.

Z drugiej strony było to na rękę Trzeciej Rzeszy, gdyż polityce Niemiec hitlerowskich przyszywały określone cele: usunięcie (czyt.: wymordowanie) ludności polskiej nie nadającej się do zniewolenia i zasiedlanie tych obszarów Niemcami. Cele te miano realizować w sposób radykalny, znany z przemówień Hitlera z maja i sierpnia 1939 roku, w których domagał się zniszczenia Polski i usunięcia jej sił żywotnych w sposób twardy i bezwzględny*. Po napaści na Polskę żądania te Hitler sprzyzywał, podkreślając potrzebę przeprowadzenia wielkiej akcji zagłady Polaków na zachodzie Polski i osiedle-

* M. Broszat, *Nationalsozialistische Polenpolitik 1939-45*, Stuttgart 1961.

nia tam Niemców z krajów bałtyckich i Europy Wschodniej*. Akcja ta miała być wstępnym stadium realizacji planów, które snuł jeszcze przed dojściem do władzy w związku z zamierzoną przyszłą ekspansją Rzeszy na wschód. Możliwość zdobycia nowej przestrzeni życiowej (*Lebensraum*) dla narodu niemieckiego, górującego według rasistowskiej doktryny narodowych socjalistów nad innymi narodami, Hitler widział w wytępieniu ludności krajów podbitych i osiedleniu w jej miejsce Niemców**. Jego wystąpienia zawierały zawsze trzy elementy:

- 1° – *Drang nach Osten*. Parcie na wschód, gdyż na wschodzie mur był bardziej kruchy, zbyt słabo podparty techniką.

- 2° – *Lebensraum* – my Niemcy, potrzebujemy przestrzeni życiowej, więc zabierzemy ją innym narodom.

- 3° – *Deutschland, Deutschland über alles, über alles in der Welt. Heute Groß-Deutschland, morgen die ganze Welt****.

Tym karmiono ten naród od wieków, naród, którego cechą był i jest żywy mit owej filozofii: „Wszystko albo nic”, której wciąż na nowo Niemcy ulegają. Temu towa-

* „Völkischer Beobachter” z 7.10.1939 – mowa Hitlera z 6.10.1939 r.

** G. Labuda, *Historiograficzna analiza tzw. niemieckiego „naporu na Wschód”*, w: *Wschodnia ekspansja Niemiec w Europie środkowej*. Zbiór studiów nad tzw. niemieckim „*Drang nach Osten*”, pod red. G. Labudy, Poznań 1963, s. 47 i n.; B. Czarniecki, *Fall Weiss. Z genezy hitlerowskiej agresji przeciw Polsce*, Warszawa 1961, s. 77-78; K. Lange, *Der Terminus – „Lebensraum” im Hitlers „Mein Kampf”*, w: „*Vierteljahrshefte für Zeitgeschichte*” 1965, Nr. 4, s. 435.

*** Pierwsze słowa hymnu Rzeszy niemieckiej: „Niemcy ponad wszystko, ponad wszystko w świecie. Dzisiaj wielkie Niemcy, jutro cały świat. [przyp. red.]

rzyszyła i czas cały towarzyszy wiara w bohatera, wodza, prowadzącego naród do „lepszego świata”, oczywiście świata Niemców, nadludzi, z prawem decydowania, kto z niewolników może żyć, a kto z nich musi umrzeć.

Ta absurdalna wyższość – *über alles* – i wręcz absurdalne roszczenia uniemożliwiały Niemcom porozumienie z innymi narodami.

Nasilaly się więc aresztowania. Do aresztowań przystąpili, poza członkami SS i policji gdańskiej, miejscowi Niemcy wezwani do tego przez Forstera*, który w tym czasie wizytował miasta pomorskie z racji przygotowawanego już przejęcia (26 października 1939 r.), sprawowanej dotychczas przez dowództwo wojskowe, naczelnej władzy nad prowincją Gdańsk-Prusy Zachodnie.

Na wiecach Forster informował o żądaniach Hitlera, by całkowicie zniemczyć Pomorze w ciągu najbliższych 10 lat. W przemówieniu wygłoszonym w Wéjherowie, transmitowanym z sali hotelu Leona Prusińskiego na ulicy miasta, nawoływał do bezwzględного usunięcia Polaków. Szczególny niepokój wywołała wśród mieszkańców jego wyraźna zapowiedź akcji zagłady Polaków, streszczająca się w tym jednym zdaniu: „Musimy ten naród wytępić, od kołyski począwszy”**.

Czy mogłem wówczas przypuszczać, że los spleta mi

* Albert Forster – od 1930 roku przywódca NSDAP w Gdańsku, a w latach 1935-1945 namiestnik prowincji Gdańsk-Prusy Zachodnie. Za zbrodnie wojenne skazany na śmierć przez Najwyższy Trybunał Narodowy i w 1950 roku stracony. [przyp. red.]

** AGK, Akta procesu Forstera, t. VI, k. 1579 (zeznanie K. Kupferschmidta); k. 1519-1520 (zeznanie W. Ługiewicz); k. 1513 (zeznanie L. Prusińskiego).

figla i spotkam się z Forsterem po wojnie w więzieniu w Gdańsku? A jednak. Ten gorliwy pogromca Polaków w Gdańsku i na Pomorzu w celi siedział sam. Kara śmierci. Czekał na wykonanie wyroku. Był spokojny, czasem nawet się uśmiechał. Choć sztucznie...

Wytępianie Polaków od kołyski nabierało wysokich obrotów. Jeszcze nie uciły strzały wojennej batalii, gdy w lasach Piaśnicy koło Wéjherowa, rozpoczęto bestialski mord niewinnych ofiar. Wywożenie ludzi z więzienia wéjherowskiego i z Pucka do Piaśnicy budziło niepokój wśród mieszkańców miasta i okolicznych wiosek. Najlepszym obserwatorem samochodów przejeżdżających szosą do Piaśnicy był z pewnością dróżnik Teofil Mudlaff z Domatówka. Widział on często transporty dozorowane przez uzbrojonych Niemców. Dostrzegał w przepelnionych samochodach mężczyzn, kobiety i dzieci. Każdemu transportowi towarzyszyły motocykle i samodzielny osobowy wiozący plutony egzekucyjne.

Pojazdy zbaczały do lasu w pobliżu Wielkiej Piaśnicy, skąd po pewnym czasie dochodziły odgłosy strzałów, najpierw z broni maszynowej, potem z karabinów ręcznych i pistoletów. Słychać było rozpaczliwe krzyki zabijanych, zwłaszcza kobiet. Zdaniem Mudlaffa koło jego budki przejechało około pięciuset samochodów ciężarowych bądź autobusów ze skazańcami*. Krótko przed rozpoczęciem każdej egzekucji angażowano okolicznych rolników

* AGK, Akta procesu Forstera, t. VI, k. 1563. Zeznania Mudlaffa potwierdzają inni świadkowie, m.in. Leon Angel z Wielkiej Piaśnicy i Robert Heland z Warszalkowa. IZ Dok. III-95.

niemieckich do kopania grobów. Jeden z nich, Walter Mahlke z Leśniewa, złożył o tym zeznanie, choć przemilczał między innymi swoją obecność przy egzekucjach:

W okresie kopania ziemniaków w 1939 r. przybył do wsi Oberwachmeister Wittke z Wejherowa z leśniczym Stöcklem z leśnictwa Warszawsko i wezwał mnie, mojego syna Wërnera, Emila Reimera i Paula Lietzowa (wszyscy z Leśniewa), abyśmy się stawili z rydlami do pracy w lesie. Nie objaśniono nam, do jakiej pracy idziemy. Było to o zmierzchu. Leśniczy odprowadził nas do lasu leśnictwa piasnickiego i tam sam odmierzał prze-strzeń długą na 8 metrów i szeroką na 5 metrów oraz polecił wykopać dół o głębokości 2,5 metra. Stöckel powiedział, abyśmy zachowali w tajemnicy te prace. Dół taki kopaliśmy przez całą noc przy świetle ogniska (...). Wykopaliliśmy około 10 dołów o powyższych rozmiarach.

W dwa lub trzy dni po wykopaniu pierwszego dołu słychać było strzały karabinów maszynowych, a następnie pojedyncze strzały karabinowe. Trwały one ponad godzinę. Odgłos strzałów dochodził od strony, gdzie właśnie kopalem dół. Domyśliłem się, że przy tych dołach odbywa się właśnie rozstrzelanie Polaków. Takie było przekonanie ludności niemieckiej w naszej wsi. Wieczorem znów przybył do nas Stöckel, przyprowadził nas z rydlami do jednego z dołów i polecił go zasypywać. Dół był już częściowo zasypany i pozostało około 1,5

m próżni do zasypania. Spod piasku wystawały nieznacznie kończyny ludzkie. Wokół dołu w promieniu do 10 m widziałem krew, zęby, a nawet walki czaszek ludzkich (...). Kto zasypywał z grubsza zwłoki w dołach, tego nie wiem. Domyślałem się, że robili to esesmani. Dół zasypywaliśmy nocą. Po tygodniu wyrównywaliśmy powierzchnię grobów (...). Po trzech tygodniach okrywaliśmy darnią, wykopaną w innym miejscu lasu (...). Z momentem, gdy nastaly mrozy i śniegi w 1939 r., zaprzestaliśmy prac w lesie piasnickim i wtedy ustaly odgłosy strzałów (...). Gdy pytaliśmy Stöckla, kogo rozstrzeluje się w lasach piasnickich, objaśnił nas, że umysłowo i wenerycznie chorych. Mówił to z uśmiechem (...).*

Groby w piasnickich lasach pochłonyły ponad 12 tysięcy ofiar. Podobnych miejsc kaźni na Pomorzu było wiele. Słynny obóz koncentracyjny, który powstał w Sturthofie już w pierwszych dniach wojny był miejscem kaźni dla wielu tysięcy Polaków oraz więźniów innych narodowości.

Ze szczególną bezwzględnością uderzyli hitlerowcy w najbardziej aktywne warstwy inteligencji polskiej: księży, nauczycieli, adwokatów, lekarzy... Jednym słowem w osoby mogące stanowić zagrożenie w realizacji planów zniewalania narodu.

Zabójcze ręce Sturthofu sięgały od Szczecina po Królewiec, gdzie w ponad 30 podobozach, w nieludzkich

* AGK, Akta procesu Forstera, t. VI, k. 1526-1528.

warunkach, żyli podczas morderczej pracy i umierali więźniowie.

W Gdańsku mieszkali wujostwo. Nazywali się Wolschläger. Wujek Antek został aresztowany w pierwszej połowie września, a po kilku dniach i dwaj jego synowie a moi kuzyni. Wolschläger – prawdziwie niemieckie nazwisko. Lecz wujek Antek był Polakiem i dlatego zginął, zamordowany wraz ze swymi synami, Pawłem i Stefanem w Stuthofie. Ciotka Helena ukryła się na wsi w Najmusach koło Starogardu. Niestety, nie było to bezpieczne miejsce schronienia. Jakiś czas potem została zamordowana w lesie szpegawskim.

W lesie szpegawskim, w okolicach wsi Szpegawsk, koło Starogardu Gdańskiego, województwo pomorskie, spoczywają prochy wielu tysięcy Polaków bestialsko pomordowanych. W okresie okupacji niemieckiej, od 1939 roku ten kompleks leśny był terenem licznych masowych egzekucji. Członkowie formacji samoobronnych (*Selbstschutz*) i SS rozstrzelali tam około siedmiu tysięcy osób, głównie mieszkańców Tczewa, Starogardu Gdańskiego oraz około dwóch tysięcy chorych z Zakładu Psychiatrycznego w Kocborowie, koło Starogardu. Zagłada, przeprowadzona w październiku 1939 roku, kiedy to we wszystkich powiatach województwa pomorskiego odbywały się masowe egzekucje pochłonęła dziesiątki tysięcy ofiar. Zdawało się, że to szczyt barbarzyństwa, że nic gorszego nie może się stać.

Nie wiedzieliśmy, że to, co przeżywamy, to zaledwie preludium tego, co miało nastąpić.

Jeszcze nie wiedzieliśmy!!!

II

Koledzy harcerze, druhowie kręgu starszoharcerskiego przynoszą złowieszcze wieści. Szkopy polują między innymi na działaczy ZHP i członków kręgu starszoharcerskiego. Nas, harcerzy sporo wylapali, wymordowali. Wiedzieliśmy, że jest niedobrze. Nocujemy raz tu, raz tam, u znajomych, u ciotek, byle tylko nie w domu.

Robimy naradę z kolegą Alkiem Kiprowskim, przyjacielem i druhem. Trzeba wiać. Ale dokąd? Na Węgry. Stamtąd pewnie dostaniemy się do Francji, gdzie nasi przyjmą nas pod swoje sztandary.

Jest 12 listopada. Wyruszamy z Alkiem w drogę. Trochę pociągami, trochę autostopem, jak się da i czym się da. W kieszeni mamy trochę pieniędzy i nadzieję, że nam się uda. Jesteśmy przecież harcerzami. Po różnych przygodach docieramy między Cisną a granicę z Węgrami. Chyba się uda. Nocujemy w chacie. Dobrzy ludzie częstują kolacją, chcemy płacić, ale nie przyjmują. Wygodne łóżko, siennik wypchany świeżą słomą. Łoże to dzielię z Alkiem. Jesteśmy znużeni, ale spać nie sposób, mimo że w chacie już ciemno i cicho.

– Nie śpisz Kazik? – odezwał się Alek.

– Nie śpię – odpowiadam.

Mamy o czym myśleć, choć to nic nie daje.

— Jutro będziemy po drugiej stronie, albo ... — zawiesił głos Alek.

Wreszcie nastal dzień. Szary i mokry. Ubieramy się szybko i w drogę.

— Szczęść Boże — żegnają nas gospodarze.

Zgodnie z instrukcją mamy trzy kilometry do granicy. Ostrożnie i czujnie, leśną drogą zbliżamy się do niej. Wychodząc z lasu, przecinamy drogę, by przejść do lasu po jej drugiej stronie. Pech. Zza zakrętu wyłaniają się Niemcy na motorach.

— *Halt!** — krzyczą i odbezpieczają broń.

Stajemy.

— Skąd?! Dokąd?! — pytają.

— Szukamy rodziny — mówimy.

Wiem, że to trochę naiwne. Gdzie przecież Tczew, a gdzie granica z Węgrami. Zabierają więc nas do Baligrodu i oddają w ręce gestapo. Tak znaleźliśmy się w ponurym, ciemnym pomieszczeniu w piwnicy budynku, gdzie urzędowali gestapowcy. Nie byliśmy tam sami. Trudno było rozpoznać twarze i trudniej jeszcze orzec, ilu nas tam było. Dopiero, kiedy któregoś z nas wyciągano na „przesłuchanie”, otwarte, stalowe drzwi wpuszczaly nieco światła. Okazało się, że jest nas sześciu. Jeden z tej paczki zagadywał Alka i mnie, wypytując o szczegóły. Wydawał nam się nie tyle dziwny, ile niebezpieczny. Może kapuś? Potem pięć dni przesłuchań w stylu gestapo. Na twarzy nie widać oczu ni ust. Jest za to jedna bryła zakrzepłej krwi. Twarz Alka była jakby

* *Halt!* (niem.) — Stać!

zmiażdżona. Gdybym nie wiedział, że to on, nie rozpoznalbym go. Alek przyznał się w końcu, że chcieliśmy przejść przez granicę. Nic więcej.

Szóstego dnia wyciągnęli nas z piwnicy i zaprowadzili do biura. Wreszcie werdykt:

— Właściwie powinniśmy was rozstrzelać, ale mamy dla was coś o wiele bardziej ciekawego.

Wieczorem przewieźli nas do więzienia w Sanoku. Była tam — można by powiedzieć — zbieranina w różnym wieku. Towarzystwo wyczerpane, przedstawiciele różnych zawodów. Przeważała jednak inteligencja i młodzi. W całej paczce był również Jasio. Młody, śniady i bystry. Kiedy go zapytałem, co robił przed aresztowaniem odpowiedział, że był i jest złodziejem. Z tego żyje. Zaskoczyła mnie ta szczerość.

— Nie bój się, wolalbyśmy rękę stracić niż zabrać komuś kolwiek z was choćby grosik — dodał. Na twarzy Jasia pojawił się szeroki uśmiech. — Kocham Polskę jak wszyscy Polacy, tylko trochę inaczej żyję.

Był bardzo koleżeński, uczynny i tak jak wszyscy w celi — granicznik, to znaczy, że i on zmierzał za granicę, do Francji.

Nie wiedzieliśmy, co z nami zrobią, ale nie oczekiwaliśmy z ich strony laski. Czegoś takiego nie można się było po nich spodziewać. Klucznik Reniak — Polak, traktował nas po ludzku, życzliwie i z szacunkiem.

Dokuczala jednak ciasnota w celi. Czas i nudę zabijałmy grą w szachy. Pionki i figury szachowe zostały ulepione z chleba, uprzednio przetrętego w ustach. Niektóre prawdziwie arcydzieła. Wieczory przeżywalimy szczególnie. Kiedy było już ciemno rozpoczynały się ciche,

patriotyczne rozmowy. Ciągłe dręczy nas niepewność. Co dalej?

W połowie marca, wczesnym rankiem, duży ruch. Fryce biegają jak opętani. Wypędzają nas na podwórze więzienne. Wyczytują nazwiska. Niektórych kierują na jedną stronę, a innych na drugą.

Znalazłem się w większej grupie pod murem więziennym. Alek też się znalazł. Jesteśmy znowu razem. Nie długo potem wpędzono nas z powrotem do więziennych cel. O spaniu nie było co marzyć. Wszyscy oczekiwaliśmy jutra.

Nazajutrz rano transport do Krakowa na Montelupich. Znane, słynne więzienie. Nie byliśmy tam długo, więc niewiele stramtąd pamiętam, lecz zapamięć nie mogę przeraźliwego głodu. Żywiono nas tym, co zbierały zakonnice wśród miejscowej ludności. Wypraszały u ludzi mieszkających w pobliżu żywność, którą później przekazywały do więzienia. Z tego robiło się zupę. Tak, więc parę łyżek czegoś ciepłego można było zjeść. To jednak nie wystarczało do utrzymania się w jako takiej kondycji.

I znowu transport. Siedzimy w jadącym pociągu. Za oknami wagonów noc. Tli się światełko w jakiejś chacie, gdzieś w polu. Blednie bardziej i bardziej, i znika. Esemmani z automatami w rękach bacznie nas obserwują. Czy przeżyjemy ten koszmarny stan? Stanęliśmy. Bochnia. Z krzykiem wypędzają nas z pociągu. Formujemy czwórki i dalej maszerujemy pieszo. Dokąd? A krót to wie. Wreszcie na wzgórzu widać kompleks budowlany.

Nowy Wiśnicz. Dawna posiadłość Lubomirskich, potem klasztor, a jeszcze potem ciężkie więzienie. Teraz nazwywają to *Arbeitslager*. No więc do roboty.

Znalazłem się w grupie do rozbiórki kaplicy. Całe wyposażenie wnętrza trzeba było rozebrać i wyrzucić na stertę. Ołtarz, ławki, krzyże, obrazy świętych, figury, słowem wszystko, co było w kaplicy. Wszystkie te święte przedmioty musieliśmy połamać, zniszczyć. Robiliśmy to na oczach esesmanów i straży więziennej, wywołując ich szyderczy śmiech.

Potem zapędzano nas do różnych innych prac, nie zaliczając przy tym razów. W zadawaniu tych ostatnich celowali zwłaszcza strażnicy: Masner, Mader i Rzepka. Monstrualne kreatury z pękiem kluczy na pasku, którym wywijali, okładając plecy więźniów. Przeklinali przy tym strasznie, nieestety, w polskim języku.

Mam w pamięci sytuację, w której uczestniczył mój kolega Jurek Baliński z Warszawy. Wspaniały chłopak. Po wojnie zmarł w Argentynie. Niemcy strzelali do wron, które spadały w miejsce, gdzie raz na parę dni chodziliśmy na spacer. Czasami można było niepostrzeżenie taką wronę porwać. Było to już dodatkowe zadanie. Trzeba ją było tylko jakoś przytrzymać. Do tego potrzebny był węgiel. W wyposażeniu miejsca, w jakim nas trzymano, były okrągłe piece węglowe. Wydawałki i ja wiedzieliśmy, gdzie składowano węgiel. Wydawało nam się, że strażnicy gdzieś tam sobie poszli, wobec tego będzie można przywlec jedną pakę węgla. Kiedy tak wracaliśmy obladowani opalem, natknęliśmy się na strażnika Masnera. Ten był najgroźniejszy.

— A wy znowu z tym węglem! — słyszemy. — No to postawcie go tutaj, pod ścianę.

Kazał nam ustawić się naprzeciwko siebie, zdejść drewniaki z nóg.

— A teraz walcie się po mordach! — rozkazał Masner. Do pasa miał przymocowany duży pęk kluczy. Te wielkie, ciężkie klucze służyły Masnerowi za jedno z narzędzi tortur. Jak nimi przyłożył mógł nawet kości polać. Nie mogłem przecież bić Jurka, tak jak mi przykazał ten sadysta, a Jurek nie bił i mnie. Masner więc zityrowany naszą postawą wyrwał mi z ręki drewniak i tak przyłożył Jurkowi, że ten się przewrócił.

— Teraz wiesz, jak masz lać! Macie się pracować po mordach, inaczej wykończę was! — zagroził. Zaczęliśmy się lać tak, że wystarczyło. A on stał obok i śmiał się, i śmiał się... Ta „przygoda” pozostanie mi długo w pamięci. Wieczorem, gdy wszystko cichło, leżaliśmy na pryzkach, odpoczywając.

Miałem szczęście być w celi z profesorami z Krakowa. Przysłuchiwałem się ich uczonym wywodom i rozmowom. Grube mury więzienia nie przepuszczały na zewnątrz żadnych głosów. Słuchałem tych rozmów z zapartym tchem. Z wolna, dzień po dniu, inaczej pojmowałem świat i ludzi.

Był z nami również lekarz — Żyd, który był dla strażników „niepokorny”. Opierał się sztykanom. Zabili więc go bestialsko. Podobnie jak wielu innych, którzy zostali tam na zawsze.

W wiśnickim więzieniu spędziliśmy parę miesięcy.

III

Dnia 20 czerwca 1940 roku 313 więźniów, w tym Alka i mnie, załadowano do towarowych wagonów. Pociąg ruszył w nieznany początkowo kierunku. W wagonach duszno. Jesteśmy ściśnięci jak śledzie w beczce. Ciężko oddychać. Siedzę skulony w rogu wagonu i myślę o matce. Po kilku godzinach jazdy, głodni i wyczerpani oczekujemy na najgorsze. Pociąg staje. Jest słoneczny dzień. Z brzękiem i hałasem otwierają się drzwi kolejnych wagonów.

Rozlegają się krzyki i wrzaski:

— *Raus verfluchte Schweine! Alles raus! Los! Los! Schnell! Schnell! Schweine Polen!**

Biją nas, żebyśmy szybko wysiadali. Wyskakujemy z wagonów oślepiani jaskrawym słońcem. Niemcy tłuką nas pięściami i kolbami. Tu się dowiadujemy, że jesteśmy w *Konzentrationslager Auschwitz*. Przy ustawionych stolach zaczyna się rejestracja. Robią ewidencję. Z grubszą zapisują, skąd, kto pochodzi, gdzie i kiedy się urodził.

Potem dwa dni uprawialiśmy tak zwany „sport”. Morderczy „sport” w celu ostatecznego złamania woli, zduszenia w zarodku wszelkiego odruchu protestu. Ka-

* *Raus verfluchte Schweine!*... — Wychodźcie przekłete świnie! Wszyscy wychodźcie! Jazda! Jazda! Szybko! Szybko! Polskie świnie!

po i esesmani bardzo się wówczas starali, żebyśmy mieli dzień urozmaicony. W zanadru mieli cały repertuar tancur. *Kniebeugen, Hüpfen* – przysiady i skoki w przysiadach, potem: *Rollen!* i: *Rollen!* Całymi godzinami turlamy się więc po ziemi, obracając się wokół własnej osi. Jesteśmy mokrzy od potu i brudni, oblepieni pyłem i ziemią. Mówimy sobie: „Zrobimy sobie przerwę”. Ale ktoś by pomyślał o przerwie, żeby dać złapać choć trochę oddechu. Zabawa w „sport” trwa. Teraz: *Tanzen!* Kręcimy się więc w koło, trzymając ręce to w górę, to w bok. Z wolna tracimy poczucie kierunku.

I znowu *Kniebeugen, Hüpfen* i *Rollen*. Trudno utrzymać się na nogach, całe ciało drży ze straszliwego zmęczenia.

Pić! Pić! Suche usta, wargi spękane, pragnienie pali jak ogień. Tu i ówdzie ktoś z nas pada. Mdlleje.

Kapo skwapliwie ciągnie brudny, ludzki strzep pod blok. Po paru minutach zimna woda i mocne uderzenie w policzek przywracają delikwenta do przytomności. Lecz nie zawsze...

Więźniowie z naszego transportu, z dwudziestego czerwca, zostali przeznaczeni po dwóch dniach do pracy. Ci z czternastego czerwca, z pierwszego transportu, są jeszcze na kwarantannie, uprawiają *Kniebeugen, Hüpfen, Rollen*.

Najpierw trzeba było zdusić duszę w człowieku, zabić w nim jego *ego*, zrobić z niego szmatę, zmienić go w stworzenie, które tylko chce jeść i nic więcej. Kiedy już to się udało, można było skierować takich stłamszonych, przybitych, poniżonych do roboty.

Obóz stanowiło w tym czasie zaledwie parę bloków dawnych polskich koszar artyleryjskich. Początkowo, po

apelu porannym, pracowaliśmy przy budowie ogrodzenia, później powstawały *Baukommandos*, grupy robocze, które rozbudowywały obóz. Istniejące już parterowe budynki były nadbudowywane, a na placu apelowym budowano kolejne piętrowe bloki. Postawiono też kuchnię. To wszystko nasza robota.

Na blokach były tak zwane sztuby*. Żeby pomieścić czterystu, pięciuset więźniów na bloku, trzeba było w szrubach o powierzchni 18-20 m² upchnąć 40-50 *Häftlingów*.

Leżeliśmy pokotem na podłodze. Wypadało nie więcej niż 30 centymetrów szerokości na „głowę”. Ciasnota była potworna. Bywało, że „szrubowy”** wydawał w nocy komendę: „Odwracać się. Tylko szybko i cicho.” W tej ciasnocie spaliliśmy zwykle więc na boku, wszyscy z twarzą w jedną stronę, bo na leżenie na plecach nie było po prostu miejsca.

A jak w ogóle spać, kiedy raz po raz wychodzi ktoś do siusiania. Otwarte rany ciekną, ropa wskutek flegmony spływa z ran lub z wrzodów i spada na leżących. W powietrzu unoszą się potworny zaduch i fetor.

Dopiero, gdy obóz rozbudowano, wstawiono do szrub piętrowe prycze, było trochę łżej. A tak niedospaliśmy wstajemy rano i robimy wyścigi do pomieszczenia na mycie. Nad długą blaszaną niecką wychodzą z rury krany, skąd leniwie sączy się woda. Trzeba się było szybko uwijać, żeby stanąć do apelu.

* Sztuba – izba, w której ulokowani byli więźniowie.

** Sztubowy – więzień funkcyjny, podlegający blokowemu.

Stoimy w końcu na apelu. Blok ustawiony jak zawsze w dziesięciu szeregach, żeby było łatwo policzyć. Ale to liczenie jakos nie wychodzi. Liczą kapo, liczą esesmani i nie mogą się doliczyć. Chyba kogoś brakuje. Czy ktoś uciekł? Esesmani są wściekli, kapo udają, że też. Tę wściekłość trzeba było wyladować na nas – *Häftlingen*.

Postawili nas na baczność. Stoimy tak nieruchomo, a każda chwila wydaje się nieskończenie długa. Najmniejsze poruszenie, a już któryś z oprawców wali cię po twarzy. Tortury narastają.

Pada komenda:

– *Kniebengen!* – i ręce splecione na karku.

Przerazenie rośnie, a my słabniemy z minuty na minutę. Wreszcie przychodzi największy zbrodniarz wszechczasów: *Rapportführer* Palitzsch w towarzystwie esesmanów. Woła *Dolmetscher*. Wysuwa się błady i wystraszony *Dolmetscher* – hrabia Baworowski.

– Brak jednego, ktoś uciekł. Ma się zgłosić ten, kto zna uciekiniera – tłumaczy.

W szeregach cisza.

– Zostawimy was tak długo, aż ktoś się zgłosi.

Dalej cisza. Baworowski upada kopniemy w tyłek. Rozjuszeni esesmani odchodzą, a dowództwo przejmuje kapo numer 30 – Leo Wietschorek. Wytrawny bandyta. Wysoki i barczysty. Miał siłę byka. Zwalal z nóg jednym uderzeniem. Biała temu, kto by mu się oparł. Mógł za- bić. Teraz on, Leo, pokaze co potrafi. „*Kniebengen!*” – wrzasnął. Trwa to długo, tak że nogi sztywnieją. Potem jednak pada komenda: „*Auff!*” * I tak wielokrotnie. Coraz

* *Auff!* (niem.) – Powstać!

to któryś z nas mdleje. Wychodzić z szeregu nie wolno, stusiamy pod nogi, ale gdy Leo jest blisko, robimy to w spodnie. W gorszej sytuacji był hrabia Baworowski, który po prostu w nie nawalił. Od razu wywęszył to Leo. Przyłożył mu, zwałił z nóg na wpół omdlałego nieszczeniaka. Kopać leżącego to rzecz u tych oprawców całkiem naturalna. Ale Leo chce się zabawić. Każde Baworowskie mu chodzić na czworaka i szczełać.

Zapadła noc. Strasznie długa noc. My ciągle stoimy. Wreszcie nastal poranek. Słońce ogrzewa sztywne, głodne, umęczone ciała. Lecz gdy zawisa wysoko na niebie, niemilosiernie pali. A kij Leo pracuje wytrwale. Wielu zwala się na ziemię z rezygnacją. Inni symulują, żeby choć troszkę poleżeć na spieczonej ziemi.

Po południu ten makabryczny spektakl przerwano.

Plomień piekła KL Auschwitz dopiero się rozniecał i już na samym początku rozstrzelano wielu niewinnych ludzi. Skazańcy przywożeni z okolicznych miejscowości, jak również więźniowie z obozu, określani byli jako „za- wodowi przestępcy”. Do wykonywania tych pierwszych egzekucji wyznaczono pluton składający się z 20 esesmanów z załogi wartowniczej obozu. Byli to: Jochem Jakob, Zizmann Albert, Roth Eugen, Glaue Bernhard, Mendorf Walter, Ehlinger Josef, Prager Karl, Rohrer Karl, Diesel Albert, Drechsel Johann, Herrmann Josef, Mauerhoff Heinz, Rössmann Johannes, Wehe Karl, Schäfer Erwin Otto, Regenauer Franz, Fröschke Alfred, Buko Heinrich i Gufler Hans. Tę pierwszą egzekucję przeprowadzono w dole w pobliżu obozu, gdzie w późniejszym okresie znalazła się obozowa rzeźnia. Całą akcją

kierował *Lagerführer* Karl Fritzsch*, natomiast dowódcą tego plutonu egzekucyjnego był *SS-Untersturmführer* Heinz Täger**. Ciała ofiar spalono wówczas w obozowym krematorium.

O przebiegu egzekucji komendant obozu Rudolf Höss poinformował niezwłocznie tajnym pismem Inspektorat Obozów Koncentracyjnych w Oranienburgu. Pismo nosiło oznaczenie „14 f 3”, co w hitlerowskiej praktyce kancelaryjnej oznaczało rozstrzelanie. W załączeniu wysłano również protokoły przeprowadzonej egzekucji. W formularzu tym zawarte zostały nie tylko dokładne dane ofiar, dokładny czas rozstrzelania, nazwiska egzekutorów, ale również stosowne wpisy z ogłędzin lekarskich. Wszystkie protokoły posiadały bowiem rubrykę na taką notatkę. A w każdej z nich, podpisanej przez lekarza SS Maxa Popierscha***, widniał taki sam wpis: „strzał w serce” (*Herzschuss*).

W późniejszym okresie pluton przeprowadzał egzekucje w dolach, z których wcześniej wydobywano żwir niezbędny do stałej rozbudowy obozu. Takie zwirowanie znajdowały się m.in. obok bramy wejściowej do obozu macierzystego z napisem: *Arbeit macht frei*, a także w pobliżu tzw. *Theatergebäudes*****.

* Karl Fritzsch, ur. w 1903, pierwszy kierownik obozu w KL Auschwitz, zmarł w 1945 r.

** Heinz Täger, ur. 23 lutego 1897, w KL Auschwitz od 22 listopada 1940 do 6 lutego 1941 r., dowódca kompanii.

*** Max Popiersch, ur. w 1893, naczelny lekarz garnizonu SS w KL Auschwitz do jesieni 1941 r., zmarł w 1942 r.

**** Były budynek Wojska Polskiego, gdzie miał być teatr. Władze obozowe wykorzystwały go do magazynowania cyklonu B.

IV

Nadszedł dzień, kiedy prócz pasiaków, obdarzono nas numerami. Każdy dostał numer i winkiel* – to znaczy trójkąt. Czerwony dla politycznych. Dzieci z łapanki wraz z matką, to też polityczni. Czarny – dla uchylających się od pracy. Fioletowy – dla księży, świadków Jehowy i innych sekt religijnych. Różowy – dla homoseksualistów. Żółta gwiazda – dla Żydów. Ale to nie kolor winkla był najważniejszy, najważniejszy był numer. Po lewej stronie, na sercu.

Wyżej – trójkąt, a pod nim numer. I jeszcze na spodniach. Na prawej nogawce – winkiel i numer.

W pasiakach, z własnoręcznie naszytymi numerami, stoimy w kolejce do fotografii. Jedno zdjęcie – jak byśmy to powiedzieli – *en face*, drugie – z profilu i trzecie – z półprofilu.

Zostaliśmy numerami.

Esesmani, z symbolem trupiej główki, przedstawiciele „czystej rasy”, nadludzie, nie znali naszych nazwisk ni imion. Byliśmy – numerami. Setki tysięcy oznaczonych numerami.

Nazywałem się – dziewięćset osiemnaście. Numer 918 Auschwitz, drugi transport. Bity, męczony, pokorny.

* Trójkąt umieszczony na piersi oraz na nogawce spodni; zależnie od koloru oznaczał przynależność do określonej grupy więźniów.

Próba uciezki. On, ten więzień, był niedługo w obozie, jak i my wszyscy – więźniowie. Ale jego dni – to ból, rozpacz, zwątpienie. Nie chciał się zgodzić na długotrwałe umieranie, pogrzebał nadzieję. Może się uda? Nie udało się. Psy znalazły go gdzieś zaszytego w stercie drewna. Przywlekli go na plac apelowy. Dla nas tragedia – tracimy go. Dla niego – szubienica. Dla esesmanów – teatr, komedia.

Z tyłu, za bluzę włożyli mu drewnianą listwę z przybitą gwoździami tablicą. A na niej: *Hurra, hurra, ich bin schon wieder da!** Przed sobą, na szelkach, miał ogromny bęben. Kazali mu walić w ten bęben, do taktu, jak podczas marszu. Szedł. Kroki coraz krótsze, a przerwy między nimi – coraz dłuższe.

Czyżby opóźniał dojście z tym bębniem pod szubienicę? Czyżby chciał przedłużyć życie? Szedł jak w transie. Bóg jeden wie, jakie myśli kłębiły się w jego głowie.

Stoimy na placu. Ogarnęła nas cisza. Tylko esesmani rechoczą głośniejszym śmiechem. To dopiero zabawa. Pętla objęła szyję niedoszłego uciekiniera. Przewrócona ława. Ciało zawisło... Agonia. Reszta jest milczeniem.

Często stosowaną „oficjalną” karą była chłosta. Wykonywano ją zwykle publicznie w czasie apelu na specjalnym stole do bicia, skonstruowanym w ten sposób, że leżący na nim więzień miał unieruchomione nogi. Bił to pałką, rzadziej przewidywanym przepisami pejcem. Liczba uderzeń, które według przepisów powinny być być zadawane szybko, jedno po drugim, nie mogła prze-

* *Hurra, ich bin schon wieder da!* (niem.) – Hurra, znowu jestem tu!

kraczać jednorazowo 25. Faktycznie jednak zależała od humoru esesmana nadzorującego wykonanie kary.

Jasio, którego poznałem w więzieniu w Sanoku, przeszedł ze mną „chrzest” całej gehenny na szlaku Sanok – Kraków (Montelupich) – Nowy Wiśnicz. Też drugi transport. Do KL Auschwitz. Popadł kiedyś w poważne tarapaty. Ktoś rzekomo chciał uciekać razem z Jasiem, ktoś zadenuncjował i jest sprawa w *Politische Abteilung*. Kara – bardzo łagodna. 25 batów na „koźle”. Na „szczęście” bez liczenia. Ale i tak tylek był poszatkowany ciemnosinymi pręgami. Niektóre uderzenia przecięły skórę, spod której wypływała krew.

Były też przypadki, kiedy kazano liczyć wymierzone bity – *eins, zwei, drei...** Jeśli się delikwent pomylił w liczeniu, cała „zabawa” zaczynała się od nowa, a to często znaczyło śmierć...

Lato, rok czterdziesty. Był młody chłopak – Żyd. Zaprzyjaźniłem się z nim. Nazywał się Immerglück, do słowni: «zawsze szczęście». Ładne, obiecujące nazwisko. Lecz tam, wtedy się nie sprawdziło. Choć ów chłopak był zawsze uśmiechnięty, przyjacielski i taki nasz, mimo że śmierć wszyscy nosiliśmy na plecach dzień i noc. Był jak ktoś wyjęty z wiersza Denise'a Riouala:

*Jaka jest słowiańska dusza
taka jest moja żydowska
mimo że nigdy nie idę
do Domu Bożego się modlić*

* *Eins, zwei, drei...* (niem.) – Jeden, dwa, trzy...

*dlatego moją duszą żydowską
jak słowiańska jest.**

*Jaka jest słowiańska dusza
taka jest moja żydowska
mimo że nie znam kabysz
jeszcze mniej inne modlitwy*

*dużo częściej idę ja
z rękami w kieszeniach
i gwiżdżę na wiatr*

*lecz w moim sercu
placzą i umierają
miliony pomordowanych*

*Żydów
dlatego moja dusza żydowska
jak słowiańska jest.*

*Jaka jest słowiańska dusza
taka jest moja żydowska
mimo że żyję ateistycznie
w Boga jeszcze wierzę
dużo częściej idę ja
z rękami w kieszeniach
i gwiżdżę na wiatr
lecz w moim sercu
promienieje gwiazda Dawida*

*dlatego moja dusza żydowska
jak słowiańska jest.**

Kiedyś na plac apelowy wtoczono ogromny walec. Wokół walca, na osi, była usytuowana rama, do której zaczepiono liny, a do lin wprzęgnięto – z jednej strony Żydów, a z drugiej – księży. Wśród Żydów był również Immerglück, wprzęgnięty do skrajnej liny. Równano walcem plac apelowy. To była mordercza praca. Kapo z długim pejczem poganiał ciągnących, „opornych” dobiegał pejcz. Na domiar złego, słońce paliło niemilosierdzie. Bezburmne niebo, takie piękne, a takie mordercze. Ciało pokryte kurzem i potem, na twarzach grymas bólu i rezygnacji. Zdarzało się, że ten czy ów padał ze zmęczenia. A wtedy kapo „podnosił” pejczem delikwenta na nogi.

Pod koniec dnia padł Immerglück. Zaprzęg stanął. Rozwścieczony tym kapo popędzał Żydów z jeszcze większą furją. Ruszyli.

Walec wolno przetoczył się przez nogi wyczerpanego z wysiłku nieszczęślika. Kości nóg wciśnięte zostały w ziemię. Nieprzytomnego usunięto. Zmarł.

Tak zginął Żyd z nazwiskiem – «zawsze szczęście».

Przydział do komanda pracy bywał często przypadkowy. Pracowałem w różnych komandach.

Przy budowie krematorium straciłem nadzieję na przetrwanie. Woziliśmy taczkami ziemię i kamienie do budowy pierwszego krematorium. Podła to była robota.

* Tłumaczenie z niemieckiego – autor wspomnień.

Kiedy kapo ma dobry humor, pracujemy normalnie. Ładujemy czy to kamienie, czy ziemię, wozimy pod krematorium, wysypujemy i nie czekając wracamy. Tak pracujemy przez dziesięć godzin. Kiedy jednak kapo wpadał w gorszy nastrój, zarządzał pracę *im Lautschritt* – biegiem. Ja wiem, że śmierć wisiała nad nami od pierwszego do ostatniego dnia. I nigdy nikt z nas nie wiedział, czy ten dzień to będzie dla niego ten ostatni dzień, czy jutro jeszcze będzie żył, czy nie, czy stanie do apelu, czy już nie.

Ci z nas, którzy byli trochę bardziej posunięci w latach mieli zerowe szanse, by przetrwać obóz. Praca była mordercza, kapo musiał się przecież popisywać, musiał udowadniać, że on jest tym prawdziwym, tym najwłaściwszym kapo. Za nieposłuszeństwo, za markowanie pracy mógł zabić. Takie było jego prawo. I robił to.

Do końca harówki było już niedługo. Ręce, nogi i kręgosłup „goniły” ostatkiem sił. Obok mnie pracował „niedoświadczony” stażem i wiekiem, chudy i słaby więzień. W połowie drogi postawił taczkę i wolno prostował plecy. Zauważył to esesman. Krzyknął na niego i ruchem ręki przywołał do siebie. Ten, błady i spięty ze strachu, podszedł do oprawcy.

– *Gib deine Mütze!** – rozkazał.

Więzień stoi i nic nie rozumie, wskazując na czapkę.

– *Deine Mütze!* – wrzasnął, wskazując na czapkę. Już wolno, bardzo wolno więzień zdejmował czapkę. Już wiedział, że nadszedł koniec wszystkiego. Esesman zaś rzucił czapkę daleko, jak tylko mógł.

* *Gib deine Mütze!* (niem.) – Daj swoją czapkę!

– Zabieraj swoją czapkę! *Schnell! Schnell! Los!*

Jaka ostatnia myśl zawisła w mózgu tego biedaka? Po chwili bowiem rozległ się strzał. Brutalny, nikczemny strzał.

Obok siebie kilka zwłok. Nie wróca już na własnych nogach.

Faktycznie każdy esesman mógł zabić więźnia, nie ponosząc za to żadnej odpowiedzialności. Tego rodzaju postępowanie było akceptowane i popierane nie tylko przez władze obozowe, lecz także przez najwyższe czynniki w państwie. Hitler nie ukrywał zresztą, że faktycznie przemoc i terror to skuteczne środki sprawowania władzy:

Nie chcę – głosił – by z obozów koncentracyjnych zrobiono zakłady sanatoryjne. Terror jest najskuteczniejszą bronią polityczną (...). Ja potrzebuję ludzi, którzy działają twardo i nie namyślają się, gdy mają kogoś zabić (...). Sumienie jest żydowskim wymysłem (...). Każdy postępek ma sens, także i sama zbrodnia (...).*

W tym duchu w Dachau, owej słynnej szkole katów spod znaku trupiej główki, szkolili i wychowywał kadry dla obozów koncentracyjnych pierwszy inspektor i – jak określa go Höss – właściwy twórca obozów, Theodor Eicke. Z tej szkoły Eickego wyszła też kadra załogi obo-

* H. Rauschning, *Gespräche mit Hitler*, Zürich-Wien-New York 1940, s. 79, 81, 82, 95, 210, 211.

zu koncentracyjnego w Auschwitz, w skład której wchodził: komendant obozu Rudolf Höss – pedantyczny zbrodniarz, sterujący za biurka całym mechanizmem zagłady; pierwszy kierownik obozu Karl Fritzsch – twórca systemu indywidualnego terroru, który przetrwał do końca istnienia obozu; jego następca, były szef specjalnego szkolenia w KL Dachau – Hans Aumeier oraz podoficer raportowy, wykonawca wyroków śmierci – Gerhard Palitzsch i inni.

Komendant KL Auschwitz Rudolf Höss zażądał od komendanta obozu w Sachsenhausen 30 więźniów spośród zawodowych przestępców, którzy „nauczyliby” nowych więźniów karności obozowej. Mieli oni pełnić rolę kapo. Było ich trzydziestu, numery od 1 do 30. Kryminaliści narodowości niemieckiej. Zielone trójkąty. Oni to, jako przedłużone ramię SS, stworzyli więźniom w KL Auschwitz atmosferę mordu, terroru, cynizmu, brutalności i donosicielstwa. Spełniali w obozie różne funkcje.

Być kapo, nie dawało poczucia bezpieczeństwa i nie oznaczało nietykalności. I oni mogli paść zabici tyfusem lub inną chorobą, wpaść w nielaskę panów SS lub zginąć w parachunkach między sobą. Im jednak więcej nas było, tym liczniejsza była grupa więźniów funkcyjnych, pracujących jako sanitariusze, sztabowi, *Vorarbeiterzy*, pracujących pod dachem, chroniącym od mrozu, deszczu, śloty i błota. Lecz nikt nie miał gwarancji przeżycia.

Pamiętam kilku kapo. Straszego zabijakę Leo Wietehorka. Miał numer 30. Zmarł w 1942 roku. Brodniewitza Bruno – nr 1 – *Lagerältestera* z Auschwitz I, więzionego transportem do Bergen-Belsen, gdzie został zamordowany po sądzie koleżeńskim. Bonitza Bernarda – nr 6 – *Blockältestera*. Miał proces w 1966 roku we

Frankfurcie nad Menem, dostał dożywocie. Jeszcze inni to: Grönke Artur – nr 11, kapo. Proces w 1966 roku, w tym samym mieście. Huchter Dietrich – nr 15, zmarł na tyfus w marcu 1942 roku. Missun Berthold – nr 21, zmarł w lutym 1942 roku. Harbort Roman – nr 25, samobójca – powiesił się.

Był wśród nich jeden wyjątek – po prostu dobry człowiek Otto Küsel – nr 2. Pełnił funkcję *Arbeitsdiensta*. Ten rozumiał innych i gdzie mógł, tam pomagał. Wobec mnie też ma swoje zasługi. Myślę, że nie byłoby mnie już, gdyby nie on...

Najgorzej było, kiedy podczas pracy wykańczano więźniów. Zmarłych czy też zamordowanych musieliśmy dowieźć do *Lagerinnere*.

Lagerinnere to miejsce, gdzie byliśmy zakwaterowani – obóz wewnętrzny. Stamtąd wychodziliśmy rano, przywróte orkiestry, przez bramę *Arbeit macht frei* do *Lagergebiet* – obozu zewnętrznego, gdzie zatrudniona była większość komand roboczych. Wewnątrz obozu też pracowały komanda robocze, na przykład *Reinigungskommando*, *Küchenkommando*, *Baukommando*. Cała reszta zaś pracowała na zewnątrz.

Dojechać taczka, do której włożono zwłoki zmarłego czy zadreżonego na śmierć kolegi, do obozu, to nie tylko wielka sztuka, ale i kwestia ogromnego szczęścia, żeby się to udało. A ja miałem to nieszczyćcie, że bardzo często kapo ładował jakiegoś „umrzyka” właśnie do mojej taczki.

Wchodzimy więc przez bramę piątkami, niosąc kilofy, łopaty, wioząc taczki. Kapo miał obowiązek meldo-

wać stojącemu w bramie esesmanowi powrót komanda z pracy, podając jego stan. Na przykład meldował: „*Kapo nun achtundzwanzig und sechzig*”, co oznaczało: „Kapo numer dwadzieścia osiem i sześćdziesięciu więźniów”.

Eisesman odszukiwał w księdze numer komanda i sprawdzał, ilu zostało wprowadzonych do pracy. Sprawdzał, czy stan wprowadzonych i wprowadzanych zgadza się. Obie liczby musiały być zgodne. Wobec tego, martwi musieli być również uwzględnieni. Kładziono ich potem przy odpowiednim bloku, żeby *Blockältester* mógł zameldować *Blockführerowi*, że są wszyscy.

Przy bramie grała orkiestra i trzeba było poruszać się do taktu marsza – *links, links, drei, vier** – tak jak walili bębny. A każdy kapo uważał, że jego komando jest jak wojsko i chłopaki idą ochoczo. Często jeszcze kazał więc śpiewać i to prawie całą drogę.

Jeszcze pamiętam kilka piosenek, które wówczas śpiewaliśmy. No, na przykład taką:

Schieß mir einen Lorbeerkranz,

Fallt ihr oder fallt ihr nicht,

Fallt ihr nicht, so bleibt ihr stehen

zu meinem Mädel muss ich geben,

zu meinem Mädel muss ich, muss ich geben,

*alle Wochen sechs, sieben mal.***

* (...) *links, links, drei, vier* (niem.) – lewa, lewa, trzy, cztery.

** Odstrel mi wieniec laurowy

Spadnie albo nie spadnie,

Nie spadnie, więc zostanie,

Do mojej dziewczyny muszę iść,

Do mojej dziewczyny muszę iść,

Każdego tygodnia sześć, siedem razy.

Wracamy zatem do obozu. Mam w taczce martwego kolegę. Idziemy do taktu wystukiwanego przez beben — *links, links, drei, vier*. Kapo daje komendę: *Mützen ...* — idziemy, trzymając prawą ręką czapkę na głowie — ... *ab!* Słychać jeden stuk, *na: links, links* — idziemy dalej. Ale ja mam taczkę, którą muszę trzymać, a w niej jakiś kolega z komanda, który w tym dniu nie przeżył. Kiedy padają te właśnie słowa: *Mützen ...*, ja nie mogę puścić taczki, bo muszę iść z nią. Na komendę: ... *ab!* — podstawiłam więc kolano pod prawą rączkę taczki, zrywam czapkę i *na: links* muszę już wpaść we właściwy krok.

Zdarzało się jednak, że taczka się zachwiała, a zawartość jej wypadła. Powstawał wówczas zator. A z nim zacinano się piekło. Esesmani bili, kapo bili. Krew, sińce i guzy. Żeby tego uniknąć trzeba było maksymalnie uważać.

Ciągle było się więc w strachu, pod presją, nieustannie dręczyło pytanie: Czy to się uda? Czy wjadę taczką do obozu bez przeszkód?

Odręczenie następowało dopiero po przekroczeniu bramy obozu. To były stresy, które bardzo odbijały się na psychice. Trzeba było mieć dużo szczęścia, być silnym i zdrowym i umieć szybko się dostosować.

Tymczasem pracujemy. Wozimy taczkami ciężary.

Kapo daje komendę: *Im Laufschrift!** — więc biegamy. Takiej pracy nikt nie może wytrzymać dłużej niż godzinę. Wyczerpany szybko upadnie. A to znaczy, że dobiegło kapo. Człowiek czuje się jak zaszczute zwierzę. Moby-

* *Im Laufschrift!* (niem.) — Biegiem!

Ważne więc w sobie wszystkie siły. Trzeba też wykorzystywać momenty, kiedy kapo się odwraca, bo kogoś bije, czy z kimś rozmawia. Wtedy markuję pracę. Oddycham. Ale gdy kapo odwraca się w moją stronę — pilnie pracuję. Pokazuję, że jestem użyteczny.

Trzeba było umieć dostosowywać się do sytuacji. Porozumie wykazywać się w pracy. Jeśli posiadało się taką umiejętność, można było przetrwać. Jeśli ktoś był gąpowaty, tyrał, bo musiał, bo tak kazali — to „wyłożył się” w dwie godziny. Niektórzy, trochę starsi, byli już tak otumanieni, że zaharowywali się na śmierć. Nie potrafili sobie pomóc, pozorując pracę. A kiedy już był taki strasznie zagłodzony i wyczerpany, stawał się *Muselmann*.

*Du bist schon ein Muskelmann!** — mawiali wtedy Niemcy, o kims, kto już siebie nie kontrolował. Nie myślał racjonalnie. Ale myślał i działał irracjonalnie. Umysł kogoś takiego zaprzętała tylko jedna myśl: „Zdobyc coś do jedzenia”. Nawet, jeśli to miałby być na wpół zgniły ziemniak leżący gdzieś obok kuchni, to on zakradał się tam, zabierał go i zjadał. Choć na drugi dzień miał taką biegunkę, że — niezależnie od tego, co by zjadł — wszystko przez niego przepływało...

Kiedy już ten poniewierany *Häftling* doszedł do stajni *Muselmann*, oznaczało to właściwie jego koniec. Dni wówczas przechodziły obok kogoś takiego bez wczoraj, bez jutra. Trząsał się taki z zimna mimo słońca, a wola jego z wolna zamierała. Żył ostatnim instynktem zwierzęcia. Bez czucia, bez wiary, bez nadziei.

* *Du bist schon ein Muskelmann!* (niem.) — Ty jesteś już *muselmannem!*

opsis wytwora

Kolejny dzień pracy za nami. Wracamy do obozu. Brama *Arbeit macht frei*. Pod prawym jej słupem stoi *Häftling*. Przygarbiony, zapadłe piersi, na ramionach wi- si pasiak, z którego wystaje goła, chuda szyja. Z ręk- wów zwisają zsiniałe od mrozu dłonie. Przymglone, nie- ruchome oczy patrzą donikąd. Z ust wystaje zmarznięty kartofel.

To on, ten kartofel jest dowodem przestępstwa. Wła- Została zabrana, ukradziona własność obozu. Wła- sność Rzeszy Niemieckiej. Czy to, co widzimy jest karą za przewinienie? Ależ nie! To zaledwie wstęp do dalsze- go ciągu. Kiedy wszystkie komanda pracy znajdują się za bramą, wewnątrz obozu, *Häftling* – „złodziej” – pod eskortą esesmana, resztą sił powlecze się do *Politische Abteilung*, gdzie zostanie osądzony.

Wyrok?

Może słupek, może kozioł, a może bunkier? Lecz to już nie ma znaczenia. *Häftling-Muselmann*, bo tylko *Mu- selmann* może podnieść zmarznięty ziemniak z nadzieją, że usunie nim, choć na chwilę straszliwy, nieprzerwany głód, zostanie niebawem osądzony. Każda kara, jaka jest do dyspozycji panów z SS, jest dla *Muselmanna* karą śmierci. Bo nawet najłżejsza z repertuaru kar dla niego jest ciosem ostatecznym, ciosem śmiertelnym...

Jeszcze dziś *Leichenkommando* powiezie jego kości ob- ciągnięte bładą skórą do krematorium, a numer wykre- ślony zostanie z ewidencji. Numer, nie człowiek.

Kiedy wracamy z komandem na przerwę obiadową, mamy do załatwienia trzy podstawowe czynności: zjeść zupę, umyć miskę i załatwić potrzeby fizjologiczne.

No, właśnie. Latryna była wprawdzie spora i wystar-

czyłaby, gdyby to było na obozie harcerskim. Ale tu, dla tysięcy potrzebujących?

Wykopany rów ma długość 6 może 8 metrów. Nad tym rowem, o głębokości 1,5 metra, oparty jest na ko- złach drąg. Z przodu i z tyłu – drewniany parawan. Do środka wchodziło się z jednej strony, a wychodziło z drugiej.

Nic dziwnego, że przy takiej ilości potrzebujących, były zatory i przepychanki. Żeby usprawnić i zwiększyć „przestupność” wyznaczono kapo, który miał w czasie przerwy obiadowej „regulować ten ruch”.

Dla kapo była to pyszna zabawa. Dla nas, umęczo- nych, potworny stres.

Kapo z grubym kijem stał u wejścia latryny. A my staliśmy w długiej kolejce, przestępując z nogi na nogę. Wchodziliśmy, a raczej wbiegaliśmy do środka dziesiąt- kami. Najbliższa do wejścia dziesiątka więźniów, trzy- mała w rękę odpięte spodnie. Tym, co już weszli kapo odlicza do dziesiątciu. Kiedy padało słowo – *zehn* – dzie- sięć, załatwieni czy niezalatwieni, musieli biegiem opuszczać latrynę, wybiegając z drugiej strony.

Zdarzało się, że ktoś się zagapił, bo nie dosłyszał „zehn” i napierany przez następną dziesiątkę nie wysko- czył z latryny na czas. Robiło się zamieszanie, które ka- po „rozwiązywał” kijem, wyrzucając przy tym z siebie straszne przekleństwa. Zdarzało się również, że któryś z mocniej poczęstowanych kijem wywrócił się i wpadał do rowu wypełnionego do połowy kałem. Gehenna.

Tymczasem zaczynają formować komanda do pracy, a w kolejce do latryny stoją jeszcze więźniowie. Może ju- tro się im uda?

Noc. *Postenkette* czuwa. Blask księżycy obejmuje bloki. Obóz śpi. Wartownicy nie. Ja też nie. Jutro pisanie listów.

List do rodziców – jeden raz w miesiącu. Gdyby pozwolili nawet codziennie, to i tak by to nic nie zmieniło. Treść zawsze ta sama, oficjalna i banalna:

Liebe Eltern,
ich bin gesund und munter und hoffe von Euch dasselbe. Mir geht's gut, ich arbeite hier und ich hoffe dass wir uns bald wiedersehen.*

Wasz syn – Kazik

Czy rodzice wiedzieli, że to nieprawda? Co myśleli o tych słowach? Czy wiedzieli, co tu naprawdę się dzieje, jak to naprawdę wygląda? Chciałbym im tak dużo opowiedzieć. Może opowieść – jak wrócić. Opowieść – być może. Czy wiedzą, o czym marzę na deskach pryczy? Tylko jeszcze o czystej bieliźnie, tylko jeszcze o prawdziwym łóżku...

Dawno już przeszły i zginęły romantyczne marzenia o ścieżkach w ogrodzie, kwitnących kwiatkach w maju... Najczęściej marzenia moje związane są z kromką chleba. Gryzą nas wszy i pchły. Wczoraj, przedwczoraj i dziś... Zawsze.

Dawno już zapomniałem, co znaczy słowo wolność. Czy naprawdę wolno spacerować przez zielony las? Jest

* *Liebe Eltern...* (niem.) – Kochani Rodzice, jestem zdrowy i w dobrej formie, mam nadzieję, że i wy tak samo. Mnie powodzi się dobrze, pracuję tu i mam nadzieję, że zobaczymy się niebawem.

zima i tak przeraźliwie zimno. Tęsknię za życiem, a ono jest tak daleko, niewyobraźalnie daleko. Kręcę się w koszarze, szukam spokoju... daremnie. Na górnej pryczy jeszcze ktoś, kto się męczy. Z gardła, z obłędem w oczach, wyrzuca krzyk rozpaczny. „Śmierć – myślę – ofiarę... wybiera”.

Kiedy już nas było więcej – liczyliśmy się już na tyście – głód rozdzierał nam wnętrzności. Głód. Ciągłe głód! Co robić, żeby go zaspokoić? Myśli z mózgu wyprane, żołądek boli jak nożem pocięty, trudno złapać powietrze. Jedna tylko myśl uparcie drąży mózg: Jeść! Jeść! Jeść!

Miska zupy, czasem całkiem wodnistej albo *Avosutype* do tego kromka chleba z kawą zbożową, trochę marmolady lub margaryny. To było bardzo niewiele, biorąc pod uwagę wykonywaną przez nas ciężką pracę.

Czy wiesz czytelniku, jak wygląda głód? To długie umieranie? Głowę masz w wiecznym gorączkowym uścisku. Powiew wiatru zatacza twoim ciałem. My wiemy, jak się żebrze o łyżkę stawy. Obelgi, przekleństwa i kopniaki. Wolno ciągną się godziny, na spieczony wargi spływa ślina. Chora fantazja mężczy makabrycznie. Bochen chleba. Ach, zębami porozrywać. Żądza jedzenia... Kąsać... Polykać. Wreszcie na języku czuć, w ustach czuć i w żołądku mieć błogą sytość.

Z trudem wracamy z morderczej pracy i szybko żremy to, co dadzą. Niewiele. Ja wiem, jestem jak zwierzę. Ale takie jest właśnie powolne umieranie.

Razem z kolegą mamy jeść z jednej miski, bo dla kolejnego transportu ich zabrakło. Za parę dni, po krematoryjnym żniwie, znowu odzyskam swoją miskę. Lecz te-

raz? Po każdej łyżce zupy chciwie trzęsą się ręce. Jeść! Jeść! Jeść! A przed oczami ciemno.

Z zazdrością patrzę jak szubowcy nalewa sobie pełną miedź z samego dna kotła. „Boże, zlituj się nade mną – błagam w myślach. – Choć jeden kęs chleba. Popatrz, jak mało dziś potrzebuję...”

Wieczorem na pryczy zamykam powieki i przywołuję smaki jadła z przeszłości. Ale to jest inny, daleki świat. Tu pozostało tylko żarcie.

Rozkoszne marzenie. Jeśli Bóg da i wrócę do swego domu, do innego świata, znajdę tyle desek, że zrobię dużą skrzynię, a w niej przegrody na groch, fasolę, ziemniaki, kaszę, ryż i mąkę, i makaron. Wszystko tam będzie. A ja będę jadł i jadł do woli.

Czy nadejdzie ten dzień, który nowe życie zrodzi i powstanie w nas mocne przekonanie, że nigdy więcej nie będzie głodnych ludzi?

Uprawialiśmy w obozie coś, co było niby zabawa, niby grą. Ale tak naprawdę to był głupi hazard. Mielśmy wszy. Wszy były we wszystkich blokach. Wystarczyło podwinąć rękaw. Rekwizytem w tej zabawie była miska, na środek której trzeba było postawić swoją wesz. Zanim przystąpiłem do tej gry, musiałem swój kawałek kolacyjnego chleba oddać w zastaw.

Jakie były reguły tej gry?

Właściciel tej wszy, która pierwsza doszła do krawędzi miski, zabierał wszystkie kromki chleba. Pozostali uczestnicy gry szli spać bez kolacji. A to był kolejny powód, żeby długo nie wytrzymać tej harówki, tej pracy ponad siły, na jaką nas codziennie skazywano.

Przerwa obiadowa. Kotły stoją przed kuchnią, gotowe do przeniesienia do bloków. Przykrywki, które można było nalożyć na kotły przy pomocy specjalnych zaczepów, są tym razem tylko położone obok. Niedaleko kuchni jest coś w rodzaju śmietnika, miejsca na obierki. Sposprzegam tam leżącą puszkę. W głowie świta myśl, słyszę kogoś mówiącego do mnie: „Weź tę puszkę, nabierz zupy. Króć cię zobaczy?” Kieruję się tym, co słyszę. Pochoszę puszkę, nabieram zupy. Idę, prawie biegnę, żeby jak najdalej znaleźć się od tej kuchni. Niestety, jakby z ziemi wyrastra przede mną esesman.

– A cóż ty tam masz? – pyta.

– Zupę.

Zapisuje *dziewięćset osiemnaście* do raportu. Następnie go dnia rano po apelu pada komenda:

– *Arbeitskommando formieren!**

Chłopaki ustawiają się na miejscu odpowiednich komand roboczych, a ja – muszę zameldować się do raportu.

– *Häftling Nummer neubundertachtzehn meldet sich zur Stelle.***

– *Ab, das bist du!* – wita mnie esesman. – *Du verfluchte Hund! Was meinst du denn?!****

Przekartkował coś w notesie i mówi:

– No, to pierwsza twoja kara. Dobry z ciebie cwaniaczek! Dobry złodziejaszek! Że ty jeszcze żyjesz, że żadnej kary nie miałeś?! Ponieważ to pierwszy raz, dostajesz jedną godzinę słupka.

* *Arbeitskommando formieren!* (niem.) – Grupę roboczą formować!

** *Häftling...* (niem.) – Więzień numer 918 melduje się na miejscu.

*** *Ab, das bist du!*... (niem.) – A, to ty jesteś! Ty przeklęty psie! Co ty sobie myślisz?!

Karę słupka odbywałem wraz z dwoma innymi więźniami na strychu Bloku Śmierci.

Przymocowano nas tam do stropów podtrzymujących dach. A wieszano na łańcuchach, które oplatały przeguby rąk. Ręce w nienaturalny sposób wykręcano do tyłu. Kafelaktor, który już tam długo „urzędował”, wiedział, na jaki hak trzeba zawiesić skazanego, żeby nie mógł oprzeć się palcami u nóg o podłogę. On wiedział, że będą maksymalnie wyciągał ręce, bo może mi się uda oprzeć, ulżyć sobie. Niestety, nawet przy maksymalnym wyprężeniu ciała brakowało mi trochę do podłoża. Strasznie było znaleźć się w takim położeniu.

Można wyróżnić kilka faz tego „zawieszenia”: pierwsza – po prostu boli, druga – czuje się miliony mrówek w rękach, trzecia – ktoś trzyma pochodnie i podpala ręce, czwarta – straszny pot bije, ostatnia – rezygnacja, całkowite wycieńczenie, zubożnienie, utrata świadomości.

Przed tą ostatnią fazą zrodziło się w moim umyśle porównanie: „Wiesz tu, jak ten lotr przy krzyżu Chrystusa” ... Coś takiego przemknęło mi przez głowę.

Usłyszałem w pewnym momencie miarowe: stuk, stuk, stuk.

To kafelaktor. Zaczął nas odwieszzać z haków. Pierwszy upadł na podłogę, drugi tak samo. Ja próbowałem utrzymać się na nogach – po chwili i ja runąłem.

Te ręce nie nadają się do pracy. Ściągną są naciągnięte. A tu pracować trzeba. Żaden kapo nie pozwolił na to, żeby ktoś w jego komandzie objął się tylko dlatęgo, że miał karę słupka. Próbuje znaleźć komando, gdzie byłoby może trochę lżej. Jeden z kapo zainteresował się moimi rękami:

– A co te twoje ręce tak dziwnie wyglądają – słupek? Słupek – potwierdziłem.

– Nie będę dłużej tego tolerował niż dwa dni. Dwa dni możesz się objąć – usłyszałem. – Uważaj tylko, żeby esesmani nie widzieli. Potem musisz znaleźć sobie jakieś inne komando. Jeśli nie, będę musiał zrobić z tobą porządek.

Mój przyjaciel Zbyszek, numer 260, przez pięć tygodni balansował między życiem a śmiercią. Był już słaby, więc wymyślił sobie pracę sprzątacza terenu obozowego.

On, sam sobie był kapo i *Häftlingem* „sprzątaczem”. Coś takiego mógł wymyślić tylko numer 260. Jakie miał wyposażenie? Wiadro i kij. Gwoździem zakończony kij, którym zbierał porzucone papierowe skrawki i inne różne śmieci.

To był pomysł na głębszy oddech, lecz niewyobrażalnie niebezpieczny. W każdej chwili mógł go prawdziwy kapo czy nawet esesman zapytać, co robi i z czego go leccenia, i byłby to jego ostatni dzień życia.

Pięć tygodni to się udawało.

Wreszcie dostrzegł go *Lagerältester*. Słynny Leo – bezpardonowy zbrodniarz.

– Co robisz? – zapytał. – Czy *Arbeitsdienst* kazał ci to robić?

– Nie, ja sam.

Leo oniemiał ze zdumienia. Długo się mu przypatrywał. – Pójdiesz do raportu i koniec z tobą – jeszcze jednak stał i jakby się wahał. Po chwili dodał: – Jutro rano zameldujesz się w kuchni. Powiesz, że ja cię przysyłam do pracy.

No, więc szczęście. *stanie przetrwania*

Co dawało jakąś szansę przetrwania? Bycie młodym,

silnym, z dobrym zdrowiem i ogromnym szczęściem!

Widocznie numer 260 miał tego szczęścia w nadmiarze.

W tymczasem i ja próbowałem znaleźć coś lejszego.

Więźniowie gromadzą się wokół esesmana. „Cóż tam

takiego?” – myślę. Podchodzę bliżej. Właśnie poszukują

kucharzy. „To jest szansa” – myślę. Może mi się uda za-

łapać?

– Ja jestem kucharzem – podnoszę wysoko rękę.

– Stań tu obok.

Stanąłem w małej grupie wybrańców.

– Reszta, rozejść się!

Czyżby mnie spotkało szczęście? Esesman pyta jed-

nak pierwszego z brzegu:

– Ty gdzie kucharzyłeś?

– W hotelu – odpowiada więzień.

I dalsze pytania: Jaki ten hotel? Gdzie?

– Na ja* – mówi esesman i każe stanąć obok po dru-

giej stronie. – A ty, gdzie pracowałeś? – wskazuje palcem

na mnie.

Świat zawirował mi w głowie. „Boże – martwię się –

cóż ja mu powiem”. Żaluję więc, że się w ogóle zgłosi-

łem. Esesman ponagla.

– Byłem kucharzem na statku – odpowiadam.

– Na ja – i patrzy na mnie przenikliwie. – A ile zało-

gi miał ten twój statek? Czy był to statek pasażerski?

– Nie – odpowiadam. – Handlowy.

– No więc, ilu załogi tam było?

* Na ja. (niem.) – No tak.

Waham się i odpowiadam:

– Dwunastu.

– Chciałbyś być u nas kucharzem? – ryknął i potęż-

nym „kopem” powalił mnie na ziemię. Potem jeszcze kil-

ka „kopów” i ryk: – *Los ab! Du Schwein!**

W mgnieniu oka grupa „kucharzy” zmalala do

dwóch więźniów.

– Ha, ha – zaryczał esesman i zaczął wypytywać

o kwalifikacje dwóch pozostałych.

Było to pewnie naiwne z mojej strony, ale to głód po-

zbawiał nas często zdrowego rozsądku.

9106

* *Los ab! Du Schwein!* (niem.) – Jazda stąd! Ty świnio!

VI

Już jesień. Listopad 1941 roku. Zimno. Przydałoby się coś ciepłego na grzbiet. Pracowałem to tu, to tam, na ogół w komandach, gdzie kapo „mocno się starał”.

Po apelu porannym zagadnął mnie kolega z bloku:

- Dołącz do nas – powiada – nam jednego rozwalili.
- A ty, gdzie pracujesz? – pytam.
- No, *Leichenkommando*.
- Wozicie „umrzyków”?
- No, tak. Ale poźreć dają więcej.

Wziął mnie mocniej za rękę i pociągnął do rolwagi, którą była odkryta platforma. Stali tam już czterej więźniowie – stare numery. Tylko jeden z nich był młody – wiekiem i numerem. Czyszcili akurat swój „karawan”.

Po pierwszym dniu załowałem jednak, że dałem się wciągnąć do tego komanda. To było pięć tygodni najbardziej ponurej pracy. Od rana do następnego rana nerwy napięte do maksimum. Coraz częstsze stawały się bomby egzekucyjne przez rozstrzelanie. Dotąd robiły to plutony egzekucyjne poza obrębem obozu. Więźniów wywoływano wówczas po apelu, wprowadzano za bramę, nad którą widniał napis: *Arbeit macht frei* i słychać było salwy wystrzałów.

Ponieważ egzekucji było coraz więcej, na dziedzińcu bloku 11. zwanego w żargonie obozowym Blokiem

Śmierci, w 1941 roku postawiono pod murem łączącym bloki 10. i 11. tak zwaną Ścianę Śmierci*. Przy niej dokonywano rozstrzeliwań z broni małokalibrowej strzałem w potylicę.

Dziedziniec tego bloku oddzielony był od reszty obozu murem plotem, tak, że nic nie było widać, co się tam działo. Pierwszą egzekucję na dziedzińcu bloku 11. przeprowadzono 11 listopada 1941 roku. Tam, kat *Rapportführer* Gerhard Palitzsch – przystojny chłopak, który w obozie nikogo nie bił, bo to nie było w jego stylu – wewnątrz zamkniętego dziedzińca, był głównym autorem makabrycznych scen. *Rapportführer* Palitzsch – król zbrodni – wprost szalał, znając nowe pola do popisu. Stał się dla więźniów uosobieniem wszechobecnej śmierci, najbardziej osławionym zbrodniarzem. Egzekucje w ogromnej większości wykonywał sam. Człowiek ten strzałem w tył głowy z małego karabinka pozbawił życia kilka tysięcy ludzi**.

Skazanych wyciągano z Bloku Śmierci – bloku 11. – pod Ścianę Śmierci. Stawali tam w rzędzie. Nago. Król zbrodni zaś kolejno przykładał ofiarom do czaszek, z tyłu głowy, lułę swojego karabinka i kończył ich życie.

* Egzekucje na podwórzu bloku 11. w KL Auschwitz I przeprowadzono od jesieni 1941 roku do jesieni 1943 roku.

** O. Augustyn, *Za drzwiami obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu*, Kraków 1945, s. 14. (...) W podanych w „Zestawieniu ważniejszych egzekucji w KL Auschwitz-Birkenau” udokumentowanych 78 egzekucjach rozstrzelano w KL Auschwitz-Birkenau 4620 kobiet i mężczyzn w przeważającej mierze obywateli polskich. Podana liczba ukazuje jedynie skalę zagadnienia i nie może być traktowana jako ostateczna.”

my wóz do krematorium i truchcikiem z powrotem. Drogę tę znaczyła stróżka krwi. A ta niejednokrotnie lała się strumieniami. To było prawdziwe piekło.

Kiedy była przerwa usiedliśmy w cieniu, pod platformą wozu. Przechodził obok więzień. Lichy, prawie *Milshamm*. Zerknął na nas i mówi:

– Raz na wozie, raz pod wozem.

Być może, tak sobie powiedział, jak to mówią, co śliwa przyniesie na język. Jednakże dwuznaczność tych słów sprawiła, iż zapadło milczenie wśród nas do końca przerwy.

Alka nieczęsto widuję. Wiem, że dobrze się trzyma i wiem, że dostał się do „dobrej” roboty. Pracuje w kuchni dla SS. Nie może mi pomagać. Pracujący w tej kuchni więźniowie są często rewidowani. Wynoszenie czegośkolwiek na blok równało się śmierci.

W chłodne popołudnie, a było to w niedzielę, spotkałem Alka na obozowej ulicy, przy której rosły dorodne brzozy – niemi świadkowie ludobójstwa.

– Co tam słycać? – pytam.

– No, wiesz, głodny nie jestem, ale nasz kapo z SS-kuchni nalatuje na mnie, jak na ognistą brunetkę. Pedzio przekłęty. Czekam, kiedy mnie stamtąd wysadzi, bo przecież mu się nie podstawię. Chociaż nie wiem, jak to się zakończy. Esesman, kierownik kuchni jakoś mnie oszczędza, może dlatego, że jestem tam jedynym znającym język niemiecki i najmłodszym z pracujących tam więźniów.

– A poza tym, jak ci idzie, Alek?

– Wiesz, wczoraj byłem z kapo w sektorze dla ruskich

Czasem do tego celu używał zwyczajnego bolca do zabijania bydła. Sprężynowy bolca wrzynał się w mózg, pod czaszkę. Czasami tam też wprowadzano grupkę cywili, których wcześniej dręczono w podziemiach zeznaniami, dając ich w końcu do zabawy Palitzschowi.

Dziewczętom kazał się rozbić i biegać wkoło po zamkniętym dziedzińcu. Sam stał w środku, wybierał długo. Po czym mierzyl. Strzelał. Zabijał. Kolejno wszystkie. Żadna nie wiedziała, która zginie zaraz, a która jeszcze pożyje chwilę, czy też może znowu wezmą ją na badania... A on zaprawiał się w celnym mierzaniu i strzelaniu.

Sceny te widziane były z bloku 12. przez sztabowych, stojących na straży i pilnujących, by w tym momencie żaden z więźniów nie podchodził do okien. Okna zabezpieczano „koszami”, lecz nie dość szczelnie, więc widziano wszystko dokładnie.

Czekamy więc pod bramą w straszliwym napięciu i nagle – zaczyna się.

– *Tor auf!* – otworzyć bramę.

Wjeżdżamy na podwórze Bloku Śmierci. W rogu, między blokiem 10. a Ścianą Śmierci, pod ścianą, rzucane zwłoki. Ściana Śmierci – granica strachu, strzału, ciemności, agonii. Ale strach nie umarł. Strach nie został zabity. Żyje – pozostał przy tej ścianie – niemy świadek przeraźliwej zbrodni, zamienił się tylko w milczenie. Ten strach wyzierał z martwych oczu ofiar. Trudno go zapamiętać.

Ładujemy ciepłe, niezastygłe jeszcze zwłoki na wóz.

– *Los, los!* – Prędej, prędej! – *Los, ab! Tor aufmachen!*

Wjeżdżamy. Zamykają bramę. Truchcikiem ciągnie-

Strach / Śmierć

jeńców wojennych. Groza. Normalny człowiek nie znieś takiego widoku. A może my nie jesteśmy już normalni?

Do obozu jeńców nie wolno było wchodzić więźniom z pozostałej części obozu. Przy bramie stali dyżurni jeńcy Rosjanie. Esesmani nie wchodzili do jenieckiego obozu, bali się tyfusu i innych chorób.

— Po wejściu na blok — ciągnął dalej Alek — musieliśmy iść wolno między jeńcami leżącymi na korytarzu, umierającymi na betonowej posadzce. Na pierś mieli kopionym olówkiem wypisane swoje obozowe numery. Ci byli przygotowani do spalenia. W umywalni i na końcu korytarza była sterta trupów do wysokości 2,5 metra. W sztabach na pryzkach jeńcy spali po pięciu, sześciu. Stłoczeni i zawsze głodni. Poznałem tam Rosjanina, czoligistę z Charkowa. Nazywał się Michajło Zyniewicz. Widziałem też, jak umierał młody chłopak, Polak w czarnym mundurze ze szkoły kadetów we Lwowie. Rosyjscy jeńcy wojenni — opowiadał Alek — są traktowani gorzej niż Żydzi. Nie mają żadnej szansy na dłuższe przeżycie. Słyszałem, jak jeden esesman opowiadał w kuchni o pewnym Rosjaninie zatrudnionym przy rąbaniu drewna. Poganiany przez kapo rąbnął go siekierą w głowę. Skaleczył go tylko, gdyż był zbyt słaby, by móc silniej uderzyć. Chciał zabić, ale mu to nie wyszło. Esesmani zwolali więc kilku kapo, a ci całe komando pracy, około 100 jeńców, zatłukli kijami na śmierć.

Wbrew prawu międzynarodowemu w obozie koncentracyjnym w Auschwitz osadzano również jeńców wojennych. Tylko w początkowym okresie, dla zachowania pozorów, przetrzymywano ich w wyodrębnionej czę-

ści obozu macierzystego, określanej jako „Obóz pracy rodzinnych jeńców wojennych”. W ciągu pierwszych 5 miesięcy pobytu w obozie, tj. od października 1941 roku do marca 1942 roku, z liczby 10 000 jeńców radzieckich zmarło z głodu lub zostało zabitych ponad 9 000. Do końca istnienia obozu osadzono w nim jeszcze 2 tysiące jeńców. Ponadto obóz ten był miejscem egzekucji jeńców wyselekcjonowanych w obozach jenieckich — tych zaś nie rejestrowano, lecz bezpośrednio po przywiezieniu rozstrzeliwano lub zabijano w komorach gazowych*. Ogółem przywieziono do obozu co najmniej 15 000 radzieckich jeńców wojennych.

Mam *Kraitze* — świerzb. Ciało pokryte śwędzącymi plamami. To jest zakaźne. Przede mną więc izolacja w szpitalu obozowym. Leżę sam na pryczy, bo wczoraj była selekcja i prawie wszystkich z tej salki wybrano do gazu lub „szpilowania”**. Trzy razy dziennie moczę się w wannie z niebieskim płynem. Może to gencjana, może inny środek. Dwa razy dziennie dostają jedzenie. Lekarzy i pielęgniarzy — nasi — Polacy. Rzadko zachodzą. W nocy spać nie mogę. Przeraziłwa cisza. Paralizuje mnie strach przed selekcją. Mam za to dużo czasu na rozmyślanie. Dziwne uczucie. W obozie nigdy nie ma na nie czasu.

Umrzeć to w gruncie rzeczy nic. Jeśli „to” zostanie

* J. A. Branchhuber, *Jeńcy radziecy w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu*, w: „Zeszyty Oświęcimskie”, 1960 nr 4, s. 3-62.

** Wstrzykiwanie więźniom fenolu za pomocą długiej igły wbi-
janej w klatkę piersiową ofiary, bezpośrednio do komory sercowej.

czyste. Inaczej jest z biegunką, mulem, krwią i jeśli „to” trwa, długo trwa.

Po paru dniach wieczorem przychodzi pielęgniarka. Ogląda mnie dokładnie.

— Jest lepiej — mówi. — Oby tak dalej. Chyba wyjdiesz za parę dni.

A ja leżę na dole piętrowej pryczy i myślę, i boję się. Wiem, co znaczy selekcja. Przecież niedawno „urzęduje” sanitariusz Klehr. Ten ma własne metody uśmiercania. Mija jeszcze kilka dni. Wizyta lekarza. Nasz — Polak. I znowu ogląda.

— Jest dobrze — mówi. Uśmiecha się. — No, jutro będzie wyskoczysz na obóz.

Wrócił z urlopu doktor. Ale nie nasz... Pławi się z radości, kiedy zarządza selekcję. „Lepiej, żeby cię tu nie było” — myślę sobie.

I nadeszło to jutro. Smutny, pochmurny poranek. Włączam się w życie obozowe. Już dawno spadły jesienne, pożółkłe liście z drzew. Lecz świat jest zły, niebezpieczny. Oddziela nas od siebie drutem kolczastym i postawia samych. A przy tym wyrzuca nas daleko na swoje rozdroża... Dziś pada śnieg, a białe śnieg skrzy się jak srebro, nawet tu za drutami...

Cicha grudniowa noc. Łagodnie spadają śnieżne płatki na baraki i obozowe ulice. Pokryły mrozem drzewa i wszystko wokół. Pod białą powłoką śmierć i pokój. Niebo pełne gwiazd. Czas zimy i niedaleka Gwiazdka. Boże Narodzenie... To już trzecie poza domem. Gwiazdka bez świateł, bez kolęd, bez świątecznego jedzenia i ciepłej odzieży. Śnieg przyprószył ulice obozu, ziemia stwardniała.

W zastygłej w ciszy obozowej ulicy, którą tak porządnie wymyślił, gdzie szron błyszczący srebrem, w cichej grudniowej nocy, ustawiono choinkę. Jak dziwnie wyglądają zawieszona na niej lampki w poświacie komina krematorium. Pamiętam zastygłe łzy.

Gdzieś za kolczastymi drutami słychać śpiew. *Stille Nacht, heilige Nacht...* Cicha noc, święta noc... Wigilia.

Pijani nadłudzicie śpiewają kolędy. My wtuleni pod kołosem, myślą jesteśmy w swoich domach... Może jest tam choinka, nasza polska choinka?... I mama nuci cichutko *Lulajże, Jezuniu*. Kochana Mama. Czy zobaczę ją jeszcze? Nosić kulture świętują. Spadkobiercy Bacha, Händla, Wagnera, Goethego, Schillera. Pijani nosiście trupich główek śpiewają... Śpiewają...

Na obozowej ulicy świeci nocą choinka niemieckiej śmierci. Uporczywie migocą lampki, z komina unosi się dym. Jak rozpaczliwy jest ten dym.

Nie! Tego nikt nie zrozumie!

Zima. Przełom 1941 i 1942 roku. Nie pamiętam, jak to miało się odbyć. Stoimy na apelu. Esesmani zdają raport o stanie więźniów na blokach.

Zgadza się. Pada komenda:

— *Arbeitskommando formieren!*

Obok mnie stoi starszy, wynędzniały *Häftling*. Beziemni *Häftling*. Ile razy na apelu staliśmy ramię w ramię albo szliśmy do pracy bez celu, po pięciu w szeregu, w śniegu. Głęboko w piersi, pod winklem, były nasze twarde serca. Tylko jedna między nami była różnica: litera w czerwonym winklu i numer pod nim.

Stojący obok mnie *Muselmann* w ostatnim stadium,

wyszeptał coś przez zmarznięte wargi i z wolna, po czym coraz prędzej, kroczył prosto na druty. Desperacko, z rozrzuconymi na boki rękami, rzuca się na kolczastą zaporę... Zawisł. Prądu nie było. Padł strzał... Wreszcie błogi spokój – koniec cierpień.

Dobiegam do swego komanda pracy.

Zaczyna się dzień, jak co dzień. Zaczynam puchnąć. Nawalają nerki. Dla mnie to kolejny ostry zakręt. Jest początek roku 1942. Jesteśmy już jednak lepiej zgrani. Koledzy przyprowadzają studenta medycyny. Popatrzył, pomacał i diagnoza:

– Nerki. Masz jedną szansę. Żadnych płynów, doślownie, i trochę podsuchzonego chleba. Nic poza tym. Jeśli wytrzymasz tydzień, z wolna dojdiesz do normy.

Wytrzymuję, ale nogi trzęsą się z wyczerpania.

Wieczór, już po apelu. Czekam na kromkę chleba. W kuchni pracuje Janek. Jest pomywaczem i chłopcem do wszystkiego. Zaprzyjaźniłem się z nim w więzieniu w Sanoku. Gdy jestem bardzo głodny i słaby, stoję pod kuchnią cały wieczór, czekając na Janka. Może wyniesie trochę chleba? Jeśli tylko może, wychodzi szybko z walkiem chleba za koszulą.

– Masz. Trzymaj się Kazek – i szybko wraca do kuchni.

W ciężkich chwilach pomaga mi, jak może. A ja jeszcze walczę, jeszcze utrzymuję się na nogach.

VII

Jest chłodny, pochmurny poranek. Apel. *Arbeitskommando formieren!* Gdzie by się doczepić – myślę – żeby było choć trochę izei.

Nagle słyszę:

– Hej, ty! 918!

Podkoczyłem do *Arbeitsdiensta*. To on mnie wolał. Otto Küsel, Niemiec, numer obozowy 2, zielony trójkąt, zawodowy przestępca kryminalny. Dobry człowiek, pomaga młodemu, wyczerpanym więźniom, przydzielając ich do znośnych komand pracy.

– Dołącz do HWL, tam brak jednego.

Nie wiem, co to za komando. Wychodzimy. Po drodze pytam, gdzie idziemy.

– Ty tu pierwszy dzień? – pyta ktoś.

– Pierwszy – odpowiadam.

– O, to dobrze trafieś, bo pracujemy w HWL – poczeka mnie tamten.

– A co to takiego? – nie jestem zupełnie zorientowany.

– *Hauptwirtschaftslager der Waffen SS** – uzyskuję informację. – Będziesz zadowolony. Dach nad głową. Harówka jest, ale ani na deszczu, ani na mrozie nie pracujesz.

* Główny magazyn oddziałów SS.

W HWL zatrudnili mnie na parterze. Pracujemy przy załadunku i wyładunku.

Pamiętam pierwszy dzień. Podjechał pociąg z wagonami wypełnionymi mąką. Stukilogramowe worki. Niełatwo je nosić. Najpierw układamy je na wózku. Podjeżdżamy do wyznaczonego miejsca i rozładowujemy je. Ciężka praca. Nauczylśmy się rozrywać te worki wózkiem. Trochę mąki zawsze wypadło. Po zakończeniu pracy trzeba to sprzątnąć. Zamiast wysypać, ładujemy to, gdzie się da. Potem trochę wody do tego. Są kłuski, a jak są kłuski, to jest żywność.

Nie ma już głodu. A to bardzo ważne – brak głodu i dach nad głową. Kondycja fizyczna wyraźnie się poprawia.

Opodal magazynu znajdują się murowane baraki. Garażuje w nich kilkanaście samochodów różnego typu i przeznaczenia. Urządzono w nich również warsztat naprawczy. W warsztacie tym pracują więźniowie: Eugeniusz Bendera, numer obozowy 8502 oraz Józef Lempart, numer obozowy 3419. Są oni włączeni do komanda pracy HWL. Lempart – ksiądz, zrównowazonny, spokojny, facet z zimną krwią. Bendera – Ukraińiec, silny, śniady i piekielnie odważny, mistrz w lawirowaniu między życiem a śmiercią. Mechanik samochodowy, nierówny w swoim fachu.

Naprawia te samochody, od których odstępują bezradni mechanicy – Niemcy – z braku dostatecznych kwalifikacji. Kiedy coś w jakimś samochodzie zepsuje się, a niemieccy mechanicy nie potrafią znaleźć awarii, wołają Genka. A dla niego nie ma w samochodzie żadnych tajemnic. „Szanuj” go za to, że w każdej sytuacji,

przy każdym, nawet bardzo skomplikowanym uszkodzeniu daje sobie radę. To on utrzymuje te samochody na chodzie. Gdy naprawi już wóz, musi kawalek nim pojechać obozowymi uliczkami, żeby sprawdzić, czy wszystko dobrze działa. Bez obstawy SS! Sam jeździ po obozie, a właściwie poza nim, w tak zwanym *Lagerintengebiet*. Tak duże mają zaufanie do niego.

Przepracowałem parę tygodni, a może i więcej. Jest początek maja 1942 roku. Genek Bendera polubił mnie, lubi ze mną rozmawiać. Pewnego razu mi się zwierzył:

– Wiesz Kazik, mnie chyba wykończą. Pójde albo do gazu, albo na rozwalkę. Dostałem cynk od chłopaków.

Nasi więźniowie pracują także w biurach i coś niecoś czasem potajemnie wyniuchali. Powiedziano mi:

– Genek, nie wiadomo kiedy, ale jesteś przeznaczony na wykończenie.

Bendera zapytał mnie:

– Jak myślisz, czy można by jakoś się stąd wyrwać?

Popatrzyłem na niego jak na człowieka, który zupełnie nie wie, co mówi. Wyrwać się stąd – bagatela. Ale kiedy trochę zastanowiłem się nad sytuacją kolegi, zmieniłem nastawienie. Nad moim przyjacielem wisi jednak ten „miecz Damoklesa” – w każdej chwili mogą go „rozwalić”. Wtedy zacząłem i ja myśleć, czy coś takiego jak ucieczka jest w ogóle możliwe.

Codziennie teraz o tym rozmawiamy po apelu. Powiedział mi kiedyś:

– Wiesz Kazik, mam pewien pomysł – ja w każdej chwili mogę przygotować samochód. Przecież oni mnie tam nie zawsze kontrolują, pozwalają mi jeździć. Mogę

przygotować samochód, którym moglibyśmy stąd wyjechać. To już coś jest.

– Ale jak dostać ten samochód? – mam wątpliwości.
– To jakoś wymyślmy. Zaczniemy od tego, że mamy samochód. A to jest do zrobienia – próbuje mnie przekonać.

Etagenführer Zucker zabierał mnie od czasu do czasu do miéjsca, gdzie mieszkał. Miałem mu posprzątać, zmywać naczynia, umyć podłogi, okna. Ja robiłem porządki, on siedział obok, czytał gazety, słuchał radia. Czasem zostawiał pajdę chleba na parapecie okna. Wiedziałem, że to dla mnie. Gdy wszystko zrobiłem musiałem wracać do roboty do magazynu.

Genek zagadnął mnie pewnego razu:

– Ty mówileś, że chodzisz tam na jakieś sprzątanie. A jak myślisz, czy tam nie można by „zorganizować” jakichś mundurów? Pomyśl tylko, samochód, niemieckie mundury. Może to byłaby ta właściwa droga?

– Jak ty sobie to wyobrażasz, Genku? – nie mogło mi się to zmieścić w głowie.

– No wiesz – odparł – musiałbyś pójść na całość. Zabić Niemca. Wtedy masz mundury, ja bym podjechał...
– Genku – oburzyłem się trochę – to jest na wariackich papierach. Ja morduję fryca, ja biorę mundury, ubieramy się i jedziemy. To tylko tak się mówi. Zrozum, oni są wyszkoleni. Mają swoje zasady, wiedzą jak działać...

Cały czas nasze umysły są jednak pochłonięte tylko jedną sprawą – jak stąd uciec? Jemu i mnie od tych myśli pęka głowa.

Niedługo musiałem czekać. Mielśmy krótką przerwę, dopiero podtaczali drugi wagon do wyładowania. Szcze-

ście czasem przychodzi z pomocą zupełnie nieoczekiwanie. *Wachmann* Zucker, pan i władca parteru, wysyła mnie na drugie piętro po puste kartony.

Zauważyłem wtedy, że po drugiej stronie korytarza są drzwi, a na nich tabliczka z napisem: *Bekleidungskammer*.

Jakież to *Bekleidung* mogą mieć Niemcy? Mundury przecież, a nie smokingi.

Z tym odkryciem poszedłem od razu do Genka.

– Genek, na drugim piętrze jest *Bekleidungskammer*.

– A cóż to takiego? – nie wiedział.

– No, mundury – wyjaśniłem.

– No widzisz, już coś mamy – powiedział – postaraj się wpaść tam na drugie piętro, może uda ci się lepiej poznać sprawę.

Wpadłem codziennie na drugie piętro, lecz drzwi zawsze były zamknięte. Wreszcie trafiłem na drzwi lekko uchylone. Usłyszałem jednocześnie, że ktoś tam jest. „Boże kochany – myślałem – jak się tam dostać? Tam jest esesman. Nie masz innego wyjścia – mówilem wciąż do siebie – musisz tam wejść, po prostu wejść”. Otworzyłem drzwi i wszedłem. Co mówię? To, co w tej sekundzie podpowiada mi rozum:

– *Herr Rottenführer, Sie sollen ins Hauptbüro.* *

Esesman zeskoczył ze skrzyni, bo coś tam wysoko ukladał. Podbiegł do mnie i zaczął tłuc, kopać. Wywróciłem się. Leżałem. A ten mnie wciąż bił. Tak mnie doprawił, że długo byłem strasznie pokiereszowany. Ale już wiedziałem! Boże, już byłem pewny, bo wiedziałem: he!

* *Herr Rottenführer, Sie sollen ins Hauptbüro!* (niem.) – Panie starszy szeregowy, jest pan proszony do głównego biura.

my, pistolety, granaty, amunicję w skrzyniach i mundurach. Wszystko tam było. Mogliśmy mieć więc to, czego szukaliśmy, bez mordowania Zuckera. Teraz trzeba było tylko wymyślić, jak się tam dostać.

Mieliśmy więc już dwa mocne punkty – samochód i mundury. To już było skleione, stanowiło mocną podstawę. Trzeba było działać dalej.

Za tę wiedzę będę musiał pewnie jednak zapłacić, bo jak ten *Rottenführer* pojedzie do biura i zapyta, co tam od niego chcą, to będę miał drugą „kopaninę”. Dzień pracy skończył się, a tu nikt nie przyszedł, żeby mnie skatować.

– Uszło mi na sucho – opowiadałem potem Genkowi. Mógł nawet ów *Rottenführer* zgłosić się, ale urzędujący mógł akurat mieć do niego jakąś sprawę i odezwać się następująco:

– *Ab, Sie sind da.**

Nie wyszło więc na jaw, że wywołałem go do biura, nie mając na to zupełnie pokrycia, wymyślając na poczekaniu taki zwykły powód. Możemy zatem mieć i samochód, i mundury. Jesteśmy już bliżej. Pozostaje jednakże kwestia dostania się do magazynu HWL. Każdą wolną chwilę i nocę poświęcam poszukiwaniu rozwiązania tego problemu. Czas naglił, czuliśmy się jak osaczone zwierzęta. Przecież musiał być sposób, tylko jak go znaleźć?!

Pewnego dnia pod rampę kolejową wtoczyła się lokomotywa ciągnąca wagony z koksem. Dwa z nich pozostawiono przy rampie.

Wachmann przeznaczył sześciu do wyladunku, w tym również i mnie. Migiem uporaliliśmy się z robotą i oczy-

* *Ab, Sie sind da.* (niem.) – Ach, to pan.

wście byliśmy potwornie zmęczeni. A ja nie czulem zmęczenia. Byłem oszołomiony nowym odkryciem.

Stalowe klapy, zamykające włązy do bunkra na koks, zamykane były od środka śrubami łączącymi stalowe klapy z uchwytem wystającym z betonowego stropu. Spełniały rolę klódki. Po skończonym wyladunku osobście zakręcałem nakrętki na śruby wetknięte przez stalowe ucha.

Jakie to proste i jasne!

Wachmann sprawdził, czy dobrze spełniłem jego polecenie zamykania włązy. Było w porządku.

Mieliśmy jednak jeden szkopuł, który wydawał się być nie do przeskokoczenia. Do połowy 1942 roku Niemcy skrupulatnie przestrzegali tego, co mówili do więźniów każdego transportu, który przyjeżdżał do Auschwitz. *Lagerführer* więc przemawiał, a więźniów – hrabia Baworowski – przekładał jego słowa:

– Stąd ucieczki nie ma. Tu należy pracować i tylko pracować. Nie myśleć, tylko pracować. A jeśli już komuś taka głupota przyjdzie do głowy, to niech wie, że jeżeli ucieknie z bloku, to dziesięciu z tego bloku pojedzie na śmierć, a w przypadku ucieczki z komanda pracy, zginie dziesięciu z tego komanda.

No to ładnie. Ja ucieknę, a za mnie dziesięciu straci życie. Uratowanie jednego życia miałoby kosztować życie dziesięciu innych? Jak to przeskokoczyć?

Jest jednak *coś* takiego, co jest jakby poza materia, co przychodzi do człowieka zupełnie nagle... I jak błyskawica wpadło mi to *coś* do głowy:

– Człowieku – mówilem głośno do samego siebie – ty możesz wyjść jako członek fikcyjnego komanda! Takim

komandem może być *Rollwagenkommando*. W ten sposób ominiesz zarządzenie władz obozu. Nie uciekniesz ani z bloku, ani z prawdziwego komanda.

Fikcyjne komando pracy – to jest rozwiązanie. To było coś, co wpadło przypadkowo do moich myśli. Byłem tym oszolomiony. „Teraz działaj! – podpowiadał mi jakiś głos. – Już masz! Teraz już wiesz!”

Ten najmocniej związany supeł został rozwiązany! Opowiedziałem o tym Genkowi. Palec Boży! Inaczej tego nie potrafię wyjaśnić. Nie pozostawało nic innego tylko działanie.

Żeby stworzyć *Rollwagenkommando* w obozie potrzebnych jest przynajmniej czterech. Wszystko woziliśmy przy pomocy *Rollwagen*. Jedne były duże. Do nich z obu stron zaczepiało się łańcuszkiem pięciu, sześciu więźniów. Używano ich do transportu betonowych elementów, cegieł. Były też małe, na przykład do wywożenia śmieci, obsługiwane przez co najmniej czterech więźniów.

Musimy więc dołączyć jeszcze dwóch, żeby był pełny mały skład, czyli czterech. Jednym był ksiądz – Józek Lempart z Wadowic. On pracował tam, gdzie Genek, ale ten mu wcześniej nie zdradzał się z tym, jaki mamy zamiar.

– Ja już nastawiłem Józka – to byłoby trzech – on jest pewny chłopak. A teraz może tobie uda się kogoś znaleźć, jakiegoś pewniaka – powiedział do mnie Genek.

Upatrzyłem sobie Staszka Jastera – numer 6438. Również pracował w magazynie. Młody chłopak z Wąrowszawy, jeszcze krzepki. Wysoki na dwa chyba metry, szerokie bary. Oryginał, lecz w najlepszym tego słowa zna-

czeniu. Harcerz. Pasjonował się żeglarstwem. Latem 1939 roku był instruktorem żeglarstwa w Harcerskim Ośrodku Morskim w Gdyni. Do obozu trafił transportem z Pawiaka. Byliśmy kiedyś razem na bloku.

Mówię do niego:

– Wiesz Staszek, tak czasem próbują niektórzy uciekać, udaje się, to wtedy zabijają dziesięciu spośród nas albo się nie udaje, wtedy wieszają tych nieszczęśników, robią kino. Po co te chłopaki w ogóle próbują? Jak ty myślisz? Przecież to nie da rady!

Patrzy na mnie:

– Nie owijaj, nie owijaj Kazik. Powiedz, co tam przygotowałeś! Potem ci odpowiem.

– Mam coś z Genkiem, jest nas już trzech i potrzebujemy czwartego – informuję go.

– No, to jak to ma się odbywać? – jest zainteresowany. Opisuję mu.

– Wydaje mi się, że to jest nonsens – mówi – ale dopiero jutro ci odpowiem, co o tym myślę. Powiem ci, czy wchodzi w to, czy nie.

Na drugi dzień pytam:

– No i co, Staszek?

– Nie spałem – odpowiada – całą noc myślałem i doszedłem do wniosku, że szansa jest. Może się udać. Mam więc czwartego.

Teraz musimy tylko odpowiedzieć sobie na pytanie: jak to ma się odbyć. Nasze komando pracowało od poniedziałku do piątku po dziesięć godzin, a w sobotę tylko do godziny pierwszej po południu. Potem kapo odsta- wiał nas do obozu. Tam zatrudniani byliśmy dodatkowo do różnych innych wewnętrznych prac.

Następny tydzień pracy zaczynał się od poniedziałku, bo na niedziele esesmani wyjeżdżali na – jakbyśmy dzisiaj powiedzieli – weekend. W soboty po południu i w niedziele magazyny były więc nieczynne.

Mając *Rollwagen*, moglibyśmy przejechać przez bramę *Arbeit macht frei* do *Lagergebiet*, gdzie znajdowały się warsztaty samochodowe i magazyn.

Realizacja tego śmiałego planu ucieczki była jednak ryzykowna. Ale czy w ogóle można uciekać z obozu koncentracyjnego, jakim był Auschwitz, bez ryzyka?!

Ryzyko nie było w ogóle w kalkulowane w plan naszej ucieczki. Nad tym się nie zastanawialiśmy. Wierzyliśmy sobie i wiedzieliśmy, że tu toczy się gra o wszystko. Między nami, a całą potęgą obozowego SS, uzbrojonego po zęby, pewnego siebie, z jego precyzyjnym – zdawałoby się – aparatem uniemożliwiającym wyjście z obozu inaczej niż przez komin krematorium. *Deutschland, Deutschland über alles...*

Plan ucieczki został zamknięty. Role i czynności podzielone. Ustaliliśmy poza tym, że na terenie obozu w żadnym przypadku nie użyjemy broni. W razie niepowodzenia likwidujemy samych siebie. Kiedy znajdziemy się poza obozem, w przypadku pościgu, nie oddajemy skóry bez walki.

Jest 20 czerwca 1942 roku. Sobota. Dzień planowanej ucieczki. Słoneczny poranek. Komanda wychodzą do pracy. W magazynie ciężki dzień. Trzeba wyładować kilka wagonów. W przerwie na podstawienie kolejnego wagonu schodzę do koksunkra, odkręcam nakrętkę na

śrubie pod stalową klapą wjazdu i wyjmuję śrubę. Wracam na górę.

Zaczynamy wyładowek następnego wagonu. Południe. Kończymy pracę. Kapo formuje komando. Wracamy do obozu. Idziemy piątkami.

Nasz kapo melduje:

– Komando HWL. Kapo, więzień numer 24 plus siedemdziesięciu więźniów.

Maszerujemy przez bramę. Esesman liczy piątki. Zgadza się.

Zbieramy się jeszcze na krótko na strychu nie ukończonego bloku. Obserwujemy wymarsz komando do pracy. Wyszły wszystkie.

– Pozwólcie – zaczął Genek – chcę przekazać ostatnie wskazówki i powtórzyć cały przebieg ucieczki tak, aby każdemu z nas dobrze utrwaliły się wszelkie szczegóły.

Genek, starszy od nas o kilkanaście lat, był naszym napisanym dowódcą. Nadawał się do tej roli jak nikt inny.

– Przygotowałem samochód – zaczął – i klucz do warsztatu. Weźmiemy Steyera 220, jest pewny. Józek, wybach, że jeszcze raz pytam, czy wlałeś pełen bak benzyny?

– Tak jest, wlałem pełen bak.

– Kazek, czy śruba pod włazem wyjęta?

– Tak, wyjąłem.

– Staszek, masz dla Kazka złotą opaskę *Vorarbeitera*?

– Tak, mam ją przy sobie.

– To dobrze. Dajmy sobie chwilę milczenia. Może wypadła pomyśleć o swoich bliskich.

Miał syna, którego kochał nad życie. Staliśmy w mil-

czeniu, a myśli moje poszybowały do matki. Józek w tym czasie leżał na podłodze i modlił się. Jego powaga i dobroć wpływały z głębokiej religijności.

— No dobrze, chłopaki — przerwał milczenie Genek. — Ruszamy! Uda się nam!

Uścisnęliśmy sobie dłonie.

Ze Staszkiem i Józkiem idziemy za kuchnię. Genek pilnie obserwuje czy wokół wszystko gra. Ciągniemy wóz pełen różnych śmieci i odpadków. Dołącza Genek, a ja nasuwam na przedramię żółtą opaskę *Vorarbeitera*. Zbliżamy się do bramy.

Arbeit macht frei — to nekrolog dwudziestego wieku. Ironia, pogarda i nienawiść. Ci nieszczęśliwi, którzy wchodzili do obozu po raz pierwszy przez tę bramę nie wiedzieli, że przekraczają próg piekła — KL Auschwitz.

Tu przed tą bramą była jeszcze nadzieja. Poza nią, w obozie, nadzieja umierała, jak umierało życie.

Czy po raz ostatni przekraczamy tę bramę? W stronę życia i wolności? Czy wrócimy z tamtej strony? Może już martwi? Boże dopomóż!

— Więzien numer 918 i trzech do *Lagergebiets*.

— Co tam macie? — pyta esesman.

— Śmiecie, a z powrotem przywozimy płyty przed blok 2.

Tam właśnie robiono drobne naprawy. Kiwnął głową.

Odpężenie. Przejeżdżamy.

— Oby tak dalej — słyszemy zadowolone Genka. Po chwili dodał: — Nicźle sobie poradziłeś, Kazek.

Staszek dorzucił żartobliwie:

— To prawdziwy fryc.

Wiedzieliśmy, że była to próba wyjścia z potwornego

stresu, który ścisnął nam gardła, a serca tomaty przetrzeliw.

Pod stajnią, położoną między obozem a HWL, zostawiamy wóz. Do warsztatu już niedaleko. Genek otwiera bramę warsztatu, a my czekamy opodal. Skinął ręką. Podbiegamy, co żywo. Genek w tym czasie obserwuje, czy nadal jest wszystko „normalne”. Było.

— Ten. To Steyer 220 — wskazuje paluchem czarny kabriolet. — Tym wyjeżdżamy. Kazek poprowadzi was do magazynu. Uwinicie się szybko i cicho. Ja przyjadę pod rampę samochodową na znak dany z okienka na dachu.

Szybko znaleźliśmy się przy magazynie. Przy rampie kolejowej stały puste wagony wyladowane przez nas przed południem. Jest to szczęśliwy dla nas układ, bo w tym momencie te zasłaniają bunkier z koksem przyległy do magazynu, na którym są stalowe klapy włazów.

Podskoczyłem z Józkiem do włazu. Próbuujemy otworzyć klapę. Staszek bacznie obserwuje, co dzieje się wokół.

Mimo ogromnego wysiłku kłapa ani drgnie. Jak przyspawana. Jeszcze raz sprawdzam, czy otwieramy właściwy właz. Tak! Zgadza się!

Dreszcze przepłynęły mi przez całe ciało. Czyżby ktoś po naszym odejściu do obozu zauważył brakującą śrubę i zamknął właz jakąś inną śrubą? Czyżbyśmy mieli potknąć się właśnie tu, w miejscu, które było dla nas najpewniejsze?

— Józek, spróbujmy jeszcze raz.

Widzę drżące ręce Józka i wiem, że nie damy rady. Podbiegam do Staszka.

— Pomóż — mówię — bo nie dajemy rady.

Przyskoczył i zręcznie znalazł się na bunkrze. Podłożył palce pod klapę, którą z wolna podnosił. Teraz łatwo otwieramy wąż. Wskakujemy kolejno do środka. Ostatni, Staszek, zamyka pokrywę.

Z bunkra do holu magazynu jest przejście przez drewniane drzwi. W kącie pod ścianą stoją łopaty i łom. Tym łomem wyważamy drzwi. Wchodzimy na drugie piętro.

Drzwi do magazynu mundurów i broni zamknięte są na klucz i dodatkowo na kłódkę. Staszek biegnie na dół do bunkra i wraca z łomem. Po chwili drzwi ustępują. Wchodzimy. Obejmuje mnie całego jakaś ulga. Całkowite odprężenie. Niepowodzenie na każdym innym etapie ucieczki skończyłoby się na szubienicy albo jeszcze gorzej – na Bloku Śmierci. Teraz, kiedy mamy broń i amunicję, to nam nie grozi.

Gorączkowo oglądamy broń. Cztery automaty.

– Staszku, szukaj amunicji do nich!

Józek odkłada cztery granaty. Ja dobieram broń krótką. Dopasowujemy pośpiesznie mundury i buty. Trochę problemów ma Staszek z uwagi na jego „gabaryty”. Zrzucamy z siebie wszystko i ubieramy się na esmanów, poczawszy od bielizny.

Teraz Józek ma włamać się do biura głównego i zabrać stamtąd klucze do drzwi wychodzących na rampę samochodową. W biurze magazynu, na dużej tablicy, zawieszono były klucze do wszystkich pomieszczeń, z wyjątkiem kluczy do magazynu broni.

Staszek i ja schodzimy na parter. Staszek niesie broń, a ja granaty i amunicję. Czujemy, że to jest gra o wszystko, że to nic, że niedaleko stacjonuje osiem kompanii SS

dobrze wyszkolonych. To nic, że są tu aż takie zabezpieczenia. Druty. Karabiny maszynowe. My gramy z Niemcami, z SS, z tymi, którzy mają nas za nic. Gramy *va banque*. O wszystko. Stąd może ta przesada, ta chęć zabrania im tak dużej ilości broni, ile się da, bo wszystka na pewno się przyda. Składamy ją w pobliżu drzwi na rampę.

Kiedy jesteście już na parterze, słyszemy warkot samochodu od strony głównych drzwi wejściowych. Samochód stanął właśnie przy nich.

Staszek patrzy na mnie i odbezpiecza broń.

Szeptam do niego cichutko:

– Stańmy po obu stronach drzwi, jeśli wejda, ruchem ręki nakazemy milczenie i łapy do góry. Potem zamknijemy drzwi, a któryś z nas sprowadzi Genka.

Pomyślałem, że to będzie nasz koniec.

Niemcy podchodzą do drzwi, zamieniają kilka zdań.

Krótko, pełna napięcia cisza i... samochód odjeżdża.

Staszek biegnie na górę, żeby przez okienko na dachu dać znak Genkowi. Po minucie, a może trochę dłużej, słyszę warkot silnika. W trójkę czekamy na Genka. Ten podjeżdża pod rampę samochodową.

Jakieś sześćdziesiąt metrów – nie dalej – jest *Postenbud* i niedaleko niej kolejna. Strażnik wszystko widzi. Genek też go widzi. I ja go widzę.

Stoję na rampie.

Genek wychodzi ze Steyera. Zdejmuje czapkę, marskując meldowanie swojego przybycia. Coś do mnie mówi. Genek jako więzielnik ma obowiązek nawet przed najniższym rangą esesmanem zdjąć czapkę. Robi to. Wie, że musimy tu grać swoje role do końca tak, jak trzeba.

Wskazuję ręką na drzwi. Genek wchodzi do magazynu

nu. Zdejmuje pasiaki i bieliznę, ubiera się w przygotowany mundur. W tym czasie Staszek z Józkiem wnoszą do samochodu broń i amunicję.

Pół minuty na sprawdzenie, czy wszystko gra. Każdy z nas ma w oczach pytanie, czy może uchodzić za esesmana. Wszystko jest chyba w porządku.

Ja jestem *Untersturmführerem*, pozostali to szeregowi esesmani. Ruszamy. Nic nas nie obchodzi strażnik w budce strażniczej opodal. Genek przy kierownicy, ja obok niego, Staszek za Genkiem, a Józek za mną.

Najgorsze było to, że nie wiedzieliśmy jak odbywa się przejazd przez szlaban. Genek znał drogę, wiedział jak tam dojechać. Nie miał jednak pojęcia, jak wygląda sam moment przekraczania takiej granicy.

Ponieważ graliśmy o wszystko, musieliśmy ustalić, co będzie, kiedy szlaban nie zostanie podniesiony.

No, bardzo łatwo. Rzucę dwa granaty i już ich nie ma. Sam sobie otworzę szlaban, przejedziemy i wolność. Można sobie jednak wyobrazić, przy odrobinie fantazji, co by było wówczas w obozie. Więźniowie dostają się do broni i atakują esesmanów. Może setki, a może tysiące naszych poszłoby do gazu. Gdyby doszło do takiej sytuacji oznaczałoby to, że nie udało się, trudno, przegraliśmy z nimi.

Jedziemy jednak z nadzieją. Jesteśmy w mundurach SS, mamy samochód z rejestracją SS – samochód komendanta, Steyer 220. Może to wystarczy bez żadnych dokumentów.

Ale oni nie otwierają szlabanu.

Mamy jeszcze jakies sześćdziesiąt, siedemdziesiąt metrów. Genek redukuje na trzeci bieg. Nie otwierają.

Jest jakies czterdzieści metrów do szlabanu. Jeden drań siedzi w *Postenbude*. Taśma wrzucona w ręczny karabin maszynowy. Na dole przy stoliku, po drugiej stronie, siedzi drugi. MP na pasku. Nie otwierają.

Genek zmienia na pierwszy bieg. Ledwo jedziemy. Do szlabanu jest piętnaście, dziesięć kroków.

Podczas tych ostatnich metrów nie jestem już w obowiazku. Jestem u swojej mamy. Żegnaj się. Wtedy czuję mocne uderzenie z tyłu w kark i słyszę syczący głos za uchem:

– Kazik, rób coś!

Ocknałem się. Otwieram drzwiczki. Wystawiam ramię, żeby zobaczył dystynkcje i krzyczę:

– *Mach auf!** Śpisz do cholery, czy co?! Ile mamy tu czekać?!

Esesman podskoczył do korby i unosi szlaban. Wolno przejeżdżamy. Esesmani pozdrawiają nas, podnoszą wyciągnięte ręce. Podnoszę i ja, jakby od niechcenia.

– *Heil Hitler!*

Jesteśmy poza szlabanem.

* *Mach auf!* (niem.) – Otwórz!

VIII

Przemykamy przez miasto, dalej przez most na Sole. Józek, który pochodził z Wadowic, zapewniał, że zna dobrze okolice Oświęcimia. Pomylił się jednakże, kierując nas na niewłaściwą drogę. Po paru minutach ta droga się kończy. Esesmani na posterunkach. Opoдал pracują więźniowie.

— Do licha — zawarzał Genek.

Szybko zawraca i pędzimy z powrotem. Okazało się, że zajęliśmy na plac budowy Buna-Werke. Stajemy. Pytamy starszka, w starym mundurze kolejarza, o drogę do Zatora.

Wskazał ręką:

— Tam do Zatora.

Jedziemy. I tu niespodzianka. Na środku drogi stoi esesman w mundurze podoficera, w głębi pola pracują więźniowie. Esesman podnosi rękę, coś od nas chce. Genek na gaz i wali prosto na niego. Esesman uskoczył na bok. Przejędzamy. Odzywam się:

— Genek, może lepiej byłoby stanać?

— Nie — powiedział tylko. — Teraz nie mamy czasu. Teraz trzeba z tego Auschwitz jak najdalej uskoczyć. Jak tak z każdym esesmanem będziesz rozmawiać, to my do wieczora nie wyjedziemy z Auschwitz. A apel wieczorny w obozie zbliża się, wkrótce wyjdzie na jaw, że nas nie ma. Będą szukać.

Dalej jedziemy bocznymi drogami. Tak docieramy do Grojca. Mijamy Osiek, Gieraltowice i dalej do Wadowic.

Najbliżej do granicy z Generalną Gubernią było do Zembrzyc, ale ostatecznie pojechalśmy do Suchejej i dalej do Makowa Podhalańskiego. Nie możemy dłużej buszować po głównych drogach. Skręcamy w las. Leśna, wyboista droga jest coraz trudniejsza, potem zamienia się w płytki potok. Po paru minutach z trudem forsujemy kamienne dno. Po czym auto staje, koniec jazdy. Coś nawalilo w samochodzie. Genek przypuszcza, że to dyferencjał. Opuszczamy więc Steyera, zabieramy broń i amunicję, i w las.

Pierwsza noc na wolności. Trzeba znaleźć nocleg. Znajdujemy go na małej polanie. Leżę pod świerkiem, patrzę w gwiaździste niebo, a myślami jestem daleko — u matki. Staszek na straży, potem kolejno Józek, Genek i ja nad ranem.

Po paru dniach znaleźliśmy się w Generalnej Guberni. Dzień po dniu zagłębialmy się dalej i dalej w góry. Zaplanowaliśmy ciągle iść górami na wschód.

Chcemy dotrzeć do Czorkowa. Ta miejscowość była kiedyś w Polsce. Dzisiaj oczywiście jest na Ukrainie przed samą polsko-rumuńską przedwojenną granicą. Tam Genek miał rodzinę i sądził, że uda się nam tam ukryć.

I w tamtym kierunku wędrujemy. Niemcy jeszcze nie chcą dać za wygraną. Myszkujeją, gdzie by nas tu dopaść. A my jesteśmy ciągle jeszcze w mundurach. Idziemy w dół Czarnego Potoku, z nurtem, po lewej stronie. Po tej właśnie stronie była mała, góralska chatynka.

Któryś z nas wówczas powiedział:

— Wejdźmy, tam może się czegoś napijemy.

Przed drzwiami nie było stopnia, tylko płaski kamień, jak to w górach. Wchodzimy. Słońce jest już prawie na zachodzie, zaczyna się powoli szarówka.

Pytamy o coś do picia. Kobicina zaczerpnęła drewnianą stągwią wody i nalala nam do jakichś garnków. Wtem słyszemy stuk w drzwi. To Staszek. Genek przyskoczył do okna, woła mnie:

— Popatrz, fryce idą. Karabiny gotowe do strzału.

Jak my w dół, tak oni szli w górę Czarnego Potoku. Oni wiedzieli, gdzie jesteśmy, gdzie idziemy. Ktoś dał im namiar. My nie wiedzieliśmy, że naprzeciw nas idą esesmani. Sytuacja byłaby więc dobra dla nich. Albo wystrzelaliby nas jak kaczki, albo wzięliby nas żywcem, zawieźli do obozu i powiesili. Tam w obozie chęliby się, że jednak oni wygrali, a nie my. Inaczej trochę sprawa się miała, kiedy schroniliśmy się w chacie.

— To co, będziemy strzelać? — zapytał ksiądz.

— Nie, nie, nie, to nie jest sytuacja do strzelania. My ich mamy jak w worku. Moglibyśmy wystrzelać ich jednym pociągnięciem automatu. Jesteśmy w domu — odrzekł Genek.

Jedynie Staszek był na zewnątrz. Tamci wiedzieli, że jesteśmy dobrze uzbrojeni. W tym momencie sytuacja była dla nas korzystna. Nie narażając siebie, mogliśmy ich wystrzelać.

Ciągle bacznie ich obserwujemy. Przechodzą obok chaty. Może dwanaście, trzynaście metrów od niej.

Kiedy mijają chatę, pierwszy esesman coś tam powiedział idącemu za nim. Broń mają w pogotowiu. Żaden z nich nie spogląda jednak w stronę chaty. Zachowują się tak, jakby jej nie zauważyli, lecz napięcia nie mogą

ukryć. Wiedzą, że jesteśmy uzbrojeni i wiedzą też, że są w daleko gorszej sytuacji. My w chacie, a oni jak gęsi na odkrytym polu.

Po chwili dziękujemy góralce i spiesznie opuszczamy chatę. Forsujemy w bród Czarny Potok i dalej na przelaj. Posuwamy się szybko, aby odejść jak najdalej od miejsca, gdzie nas namierzili. Musimy im przepaść, jak kamień w wodę.

Brzask poranka zastaje nas potwornie zmęczonych. Legliśmy więc w łanie zboża. Staszek, który był w lepszej kondycji, czuwał. A my zasnęliśmy szybko. W południe Genek zmienił Staszka w czuwaniu, a ja z Józkiem jeszcze spał. Pod wieczór słyszemy chrapiący kaszel Józka. Jest blady i wyczerpany. Nastala noc. Chcemy pójść dalej. A tymczasem Józek Lempart nie wstaje.

— Józek, już pora, wstawaj! — próbuję go dobudzić.

Nie wstaje, nic nie mówi. Podchodzę do niego:

— Józku, co jest?

Leży na boku. Chcę go trochę odwrócić, widzę, że ma usta pełne krwi. I z nosa cieknie krew.

Mówi jak spod ziemi:

— Zostawcie mnie tu. Dajcie mi tylko pistolet. Ja już nie mogę iść dalej.

No tak, Józek błagał nas, byśmy go zostawili w tym miejscu. My wiemy, że tak nie możemy postąpić.

Posiedzieliśmy jeszcze trochę i ruszamy w drogę. Genek i ja podtrzymujemy Józka z obu stron. Trochę idzie, trochę powłóczy nogami. Staszek wybiega na przód, jakies dwadzieścia metrów, penetruje drogę.

Kiedy wie, że noc spokojna, nic podejrzanego się nie dzieje, wraca.

— Podciągajcie, jest w porządku.

I tak to się odbywa. Takimi skokami się posuwamy. Chcieliśmy trafić do jakiejś wsi, gdzie jest kościół, wie- dzieliśmy, że nastąpi to prędzej czy później. Kościół to znaczy plebania, a plebania – to ksiądz. A ksiądz chyba nie opuści księdza w potrzebie. Docieramy w końcu do plebanii. Pukanie do drzwi budzi księdza.

— Kto tam?

— Proszę otworzyć – odrzekł Genek. – Mam pilną sprawę, chodzi o ratowanie człowieka.

Ksiądz zastanawiał się przez chwilę i wreszcie uchylił drzwi. Genek w paru słowach relacjonuje naszą sytuację i prosi, by ksiądz zaopiekował się Józkiem. Ksiądz zgadza się bez wahania. Uścisnęliśmy Józka, podziękowaliśmy księdzu i ruszamy dalej.

Kilka dni później nocujemy u górala. Poczciwy człowiek. Wyjawiamy wszystko.

— Musicie dobrze się pilnować – ostrzega. – Mówią ludzie, że Niemcy czegoś bardzo szukają. Po wsiach wieszili ogłoszenie, że to niby duże pieniądze będą dla tych, co pomogą ująć, jak to nazwali, bandytów.

Gości nas trzy dni. Obdarował nas odzieżą, a nasze mundury spalił. Dostajemy bochen chleba, gromół masła i w drogę.

Staszek Jaster odzywa się w pewnym momencie:

— Wybaczcie, ale ja powinienem być w Warszawie. Tam moje miejsce.

Staszek odłączył się od nas i poszedł do tej swojej Warszawy. A ja z Genkiem na wschód, na wschód i na wschód. Do Czortkowa. Doszlismy do polskich terenów, na których zamieszkiwało jednak więcej Ukraińców niż

Polaków. Wiadomo było, że Ukraińcy mordowali tam Polaków, byli po stronie Niemców. Uważali, że w ten sposób wywalczą swoją wolną Ukrainę. Kiedy jesteście głodni musimy wchodzić do ukraińskich chat. Genek ustalił ze mną:

— Ty się w ogóle nie odzywaj, ty jesteś niemowa. Ja już sobie poradzę, tylko ty nic nie mów.

No dobrze, zostałem *nemej*. Wchodzimy do chaty. Podziwiamy gospodarzy.

Genek mówi:

— No, my z Niemiec. Byliśmy tam wysłani na roboty. Wracamy stamtąd.

On znał te tereny. Dokładnie potrafił określić, gdzie, co i jak. Prosił, żeby dali czegoś do zjedzenia, bo do domu mamy jeszcze daleko.

— A ten, kto? – pytają, wskazując na mnie.

— A to niemowa – wyjaśnia Genek.

Są to sytuacje pełne napięcia. Ciężko mi jest nieustannie je znosić.

— Wydaje mi się, że gdyby nasze drogi się rozeszły, nie przeżyłbym tego – zwierzam się kiedyś przyjacielowi.

Milczenie. Nie mówi nic. Wreszcie odzywa się:

— Jestem pewny, że ucieliby ci głowę i na tym by się skończyło. Póki co, jesteś przy mnie i nic ci nie grozi.

— Gdy jednak będzie tak, że nie będę przy tobie? – ciągle czuję się niepewnie.

— To będzie koniec, będzie koniec. Nie zwracaj mi głowy – obruszył się.

— Wiesz Genku, to ja wolę być w Berlinie. Być może tam będę miał większe szanse, bo tam nie ma Ukraińców. A z Niemcami być może sobie poradzę – oznajmiłem.

Zastanowił się i zaczął:

– Wiesz, znam pewnych ludzi w Lasku. To jest wieś. Jest tam parę domów, młyn wodny. Tam mieszkają Słupczyńscy, moi bardzo dobrzy znajomi. Jeśli byśmy dotarli w to miejsce, może udałoby się uzyskać schronienie dla nas obu, choć na jakiś czas.

– Dobrze.

Idziemy więc w kierunku na Lasek. Wychodzimy z gór. Przechodzimy przez Pińczów, Jędrzejów, Włoszczowę. Jesteśmy na miejscu. Jest południe, słoneczko świeci.

– Mnie tam znają – tłumaczy mi Genek – więc ja nie mogę się tam na razie pokazywać. Pójdiesz tam sam. Jak zobaczysz panią, podobną trochę do Cyganki, czarną – czarne włosy, czarne oczy – trochę otyłą, niewielką, to będzie to pani Słupczyńska. Upewnisz się, czy to ona. Jeśli tak, dopiero wtedy powiesz, skąd jesteśmy i że ja tam w krzakach czekam. Możesz napotkać też młodą dziewczynę, również czarną – to będzie córka Słupczyńskich.

Idę na podwórko. Ktoś tam niesie jakieś worki. Ktoś inny – wodę. Jakaś dziewczyna – mleko. Krowy muczają. Jak to na wsi. Rozglądam się – no, nie ma takiej Cyganki. Wreszcie widzę czarną, ładną dziewczynę.

– Dzień dobry, przepraszam, czy pani jest córką Słupczyńskich? – odzywam się nieśmiało.

– A co panu do tego? – odpowiada trochę arogancko, widząc moją zaniedbaną odzież. – Czy pan tu u nas pracuje?

– Nie, ale chciałem zapytać, bo mam sprawę – strącam się być grzeczny.

– A jaka to sprawa? – wypytuje dziewczyna.

– Jestem z Auschwitz. Jestem z Genkiem Benderą, który mówi, że państwa zna. Siedzi tam w krzakach.

– Boże Jedyny, chodź pan do pokoju, chodź pan do pokoju – przestraszyła się nie na żarty.

Poszliśmy.

– Mamuś, mamuś – woła przestraszona.

Jakby jakiś paraliż zawiadnął wszystkimi. Postanawiamy poczekać do wieczora, a potem przyprowadzić Genka z krzaków.

Z jednej strony strach, obawa przed wykryciem całej sprawy, z drugiej – pewna duma. Oto mamy pod swym dachem bohaterów, chłopaki uciekli z Auschwitz.

Zostajemy ukryci w stodole. Siedzimy w sianie. Od strony ogrodu odsunięto jedną dechę i przez powstały w ten sposób otwór podawano nam jedzenie. Same dobre rzeczy – kluski, mleko, śmietana. Tam wszystko było.

Ukrywamy się, ale jednocześnie czekamy na...

Na tamtych terenach w każdej wsi był ktoś, kto miał jakiś związek z partyzantką. Była to dziewczyna, która przytrzymywała rany partyzantom. Był to gospodarz, który przyjmował u siebie rannych partyzantów. Był to znów ktoś taki, któremu się trochę lepiej wiodło i mógł oddać część swoich zbiorów na potrzeby oddziału partyzanckiego.

Czekaliśmy z Genkiem aż dwa tygodnie na dokumenty – był to oryginalny *Ausweis* na nazwisko Stefan Pidruczny, przeznaczony dla Genka. Pożegnanie było bardzo przyjacielskie. Dużo dla mnie zrobił. Genek wyruszał na wschód do swoich, a ja jeszcze zostałem.

Okazało się, że zorganizowanie drugiego *Ausweisu* dla mnie nie było wcale takie proste. Nie mogłem też dłużej

zostać u Słupczyńskich, ponieważ było to miejsce nie całkiem bezpieczne. Często przyjeżdżali tu Niemcy po mąkę.

Nadarzała się jednak okazja, aby przenieść mnie do wioski odległej czternaście kilometrów od miejsca, w którym przebywałem. Do Słupczyńskich miał stamtąd przejechać szwagier po mąkę, Słupczyński był młynarzem, będącym właścicielem dużego gospodarstwa.

Nowakowski – tak nazywał się szwagier Słupczyńskich – już wcześniej rozpytywał się o kogoś, kto mógłby pomóc w gospodarstwie. Była to bardzo dobra sposobność, by przekazać mnie Nowakowskiemu.

– Powiemy po prostu, że w młynie nie potrzebujemy w tym momencie nikogo do pomocy. Jeśli chcesz, możesz zabrać Władysława do siebie – mówili Słupczyńscy.

Ja nie byłem już Kazimierzem Piechowskim, nazywałem się teraz Władysław Sikora.

Przyjechał więc ten pan Nowakowski. Załadowałem mu mąkę. Jedziemy.

– A Władysław się zna na roli? – pyta.

– Znam się – odpowiadam posłusznie.

– A z obrządkiem się zna?

– Znam się.

– Konie też, orka, bronowanie, siewy?

– Też, przyjmijcie mnie tylko pod dach, to ja wszystko będę robił – prosiłem błagalnie. – Wszystko potrafię, wszystko umiem.

Zostałem przyjęty. Miałem na sobie takie byle jakie ubranko. Pani Nowakowska mówi więc do córki:

– Krysiu...

– Słucham mamusiu – grzeczna reakcja panienki, która zrobiła maturę w tym roku.

– Znajdź tam dla Władysława jakieś robocze ubranie.

– Ja?

– No tak, tak, bo ja nie mam czasu.

Panią coś tam przyniosła po chwili. Położyła na ławkę. Słupczyńscy przestrzegli mnie, że jeśli Nowakowski dowiedzie się, że uciekłem z Auschwitz, to w tej samej minucie zostaną wyproszony. On bał się swojego cienia, a co dopiero Niemców. Musiałem więc robić wszystko, żeby nie dowiedzieli się, że jestem z Auschwitz. Musiałem cały czas grać rolę wiejskiego robociarza.

I ja go grałem, ale źle mi to szło, bo przecież nie pracowałem wcześniej w gospodarstwie. Nie bardzo sobie dzieliłem z pracami w polu, z końmi.

Z czasem jednak przyswoiłem sobie poszczególne umiejętności. Potrafiłem nawet pojechać do lasu, ściąć drzewo, grube, grubą sosną, o średnicy czterdziści – czterdziści parę centymetrów, ociosać pień z konarów, włożyć na wóz, przyjechać do wsi. Sam jeden to wszystko robiłem. To – można powiedzieć – już był wyczyn. Nie każdy to potrafił. A ja, harcerz, nauczyłem się tego i wiedziałem, jak to robić.

Taki ogromny pień, długi na prawie dwadzieścia metrów i gruby do pół metra, trzeba było ładować na wóz końmi. Ta czynność wymagała nie lada umiejętności. Odbywało się to na zasadzie orczyka. Konie trzeba było w odpowiednim momencie zatrzymać, żeby pień nie spadł na drugą stronę wozu, koniom pod nogi. To był groźny moment. Taką samą procedurę stosowało się przy lokowaniu pnia na tylną część wozu. Kiedy już pień leżał na swoim miejscu, wiązałem przód i tył, worek z sianiem pod siedzenie i wio koniku – wracałem do wsi.

Wszystkich czynności związanych z uprawą roli i hodowlą nauczyłem się właśnie tam. Dziś jeszcze potrafię kosić, orać, wykonywać wszelkie prace, a jak trzeba, to i krowy wydoje.

Wiedziałem, że u Nowakowskich nie zabawię długo. Pobyt u tych ludzi, to było jednocześnie oczekiwanie. Miałem dostać papiery na nazwisko Władysław Sikora, ale już wcześniej przyzwyczaiłem się do tego nowego nazwiska.

Przeżyłem tam jednak małą wpadkę. W tak dużym gospodarstwie zawsze było co robić, nawet wieczorem po zakończeniu właściwych prac. Cała służba, dziewczyna na od kuchni, dziewczyna od krów, chłopak od koni, wykonywała także o wieczornej porze różne czynności. Dziewczyny skubały pióra, wyluskiwały fasolę, chłopcy szyli lejce, reperowali chomąta, a panienka, no cóż panienka – siedziała i czytała książki. Czytało się zawsze patriotyczne lektury, żeby również służbę w tym względzie podbudować. Służba też powinna wiedzieć, co to właściwie jest Polska, co to jest Ojczyzna, kim są Polacy.

Jest wieczór. Panienka czyta, każdy coś robi. W tem odzywa się pani:

– Trochę zmęczylaś się, Krysiu. Może Władysław wyręczy cię na chwilę?

– No, pewnie mam – zgadza się i podaje mi książkę.

Ja sobie zdaję sprawę, że jestem prosty chłop od koni, od wozów. To nie wstyd, że nie za bardzo potrafię czytać. Czytam, kaleczę, dalej gram swoją siemiężną rolę. Czytam i coraz bardziej wciąga mnie treść książki, jestem coraz ciekawszy tego, co będzie dalej. Czytam coraz szybciej, coraz bardziej płynnie.

Pani Nowakowska zauważyła to:

– No, na dzisiaj dosyć. Zbieramy się do spania.

Wokoło robi się cisza. Po chwili pani zwraca się do mnie:

– Panie Władysławie, prosimy do pokoju.

Nie mówi: Władysław, tylko: panie Władysławie.

„Wydało się. Wyrzucą mnie stąd” – myślę.

– Proszę, niech pan usiądzie – zaprasza mnie do stołu. Pierwszy raz tam jestem. „Byłeś Władysław na pokójach?” – pytali mnie potem służący. Tam służba nigdy bowiem nie wchodziła. Gromadziła się w izbie czeladnej. Mnie jednak spotkał ten zaszczyt.

Zajmuję więc miejsce i czekam jak na wyrok.

– Panie Władysławie, ja wiem, że chce pan uchronić za kogoś innego. Wiem, że nie jest pan tym, kogo pan udaje. Pan chyba rozumie, że musimy wiedzieć, kogo mamy pod swoim dachem. Teraz są takie czasy, że mogą spalić dom i nas wszystkich, jeśli coś nie będzie w porządku. Pan musi nam powiedzieć – pani przemawia do mnie – kim jest.

– Macie Państwo pod dachem mnie, który uciekł z Auschwitz – odpowiadam szczerze. – Gdzieś się muszę zatrzymać, choćby na pewien czas.

Czekam tylko, aż powie, żebym się wybrał w drogę i za dwa, trzy dni poszedł sobie.

A ona tymczasem odzywa się, ku mojemu zaskoczeniu, zupełnie inaczej:

– Ustalmy tak, panie Władysławie, rozpowiemy na wsi, że pan jest naszym dalszym krewnym, a służba to potwierdzi. Zamieszka pan z nami, nie ze służbą. Będzie pan u nas pracował, ale jako członek dalszej rodziny. To

będzie dość prawdopodobne. Zobaczymy, co będzie dalej. Broń Boże, proszę nikomu nic nie rozpowiadać.

Krysia, córka gospodarzy, związana z miejscową partyzantką, zdradza mi pewnego dnia:

– A wiesz, Władysław, jutro będziesz miał *Kemkarte*. Rzeczywiście dostałem ją następnego dnia na nazwisko Władysław Sikora. No, teraz byłem już spokojniejszy. W razie czego dam sobie radę.

Niedługo po otrzymaniu *Kemkarte* poszedłem z Krysią do „Pieca”, to był pseudonim człowieka, który był łącznikiem oddziałów partyzanckich. Był odpowiedzialny za łączność z tą wsią. U niego, w obecności dwóch nieznanych mi mężczyzn – myślę, że byli to oficerowie, bo byli w wojskowych kurtkach – złożyłem akowską przysięgę. I rozeszliśmy się.

„Piec” dał mi też pierwsze wskazówki. Powiedział, że w nocy przyjdą po mnie, muszę być gotowy. Bardzo dobrym człowiekiem był „Piec”. Przedwojenny nauczyciel.

Stało się, jak zapowiedział „Piec”. Ciemna noc. Psy szczekają. Ktoś stukła do okna. Już wiem.

– No cóż, zbieraj się Władek i do lasu.

IX

Życie w partyzantce ma swoją temperaturę. Bywało czarnymi gorąco. Dwa razy byłem ranny, raz pod Radoszycami, drugi raz pod miejscowością Końskie. Nasz oddział – to grupa „Garbatego”.

Walczyliśmy.

Jeżeli trzeba było komuś pomóc w ucieczce, wtedy nas też zabierano do akcji. Bywało i fajnie, bywało i głodno, zimno i mokro. Inny świat, inne problemy, inne życie.

Żyję. Szczęście? Przeznaczenie? Czy może nocne molitwy matki, która dzień po dniu zmagala się z ciężką harówką dla nadczłowieka, pana życia i śmierci? Może to właśnie ona, moja matka wyblagała u Boga moje ocalenie, a sama, wyczerpana ciężką pracą – odeszła?

Jest maj 1945 roku. Kto żyje, wraca do swoich. Wróciłem i ja. Zastralem rodziców w oplakany staniu. W grudniu 1939 roku zostali wypędzeni z mieszkania. Mogli zabrać ze sobą tylko podręczne tobołki. Musieli się spakować w ciągu dziesięciu minut. Wypędzono ich, bo na ich miejsce mieli wprowadzić się Niemcy.

Dzisiaj wielu Niemców mówi, że oni nie wiedzieli o tym wszystkim. Jaki Auschwitz? Jakie obozy? Jakie gazowania?

Niemcy potrzebowali *Lebensraum*. Tak więc moich rodziców wyrzucono z mieszkania i zatrudniono w dużym Tczewa. Ówczesny właściciel nazywał się Schlother. Ojca zatrudniono jako pomocnika kowala, matkę – przy

Krowy żyją sobie w oborze, w specjalnych boksach. W pierwszym zaś boksie od wejścia do obory mieściło się mieszkanie moich „staruszków”. Tak było do końca wojny. Nie mieli łatwego życia.

Czy rodzina niemiecka wiedziała, że wprowadza się do mieszkania z pełnym wyposażeniem dlatego, że wyrażono zeń rodzinę polską? I jak to się ma do etyki, moralności i sumienia? Czy są w związku z tym w życiu człowieka sytuacje, kiedy musi on powiedzieć: – NIE!?

Teraz jednak rodzice byli pełni radości z mojego powrotu.

– Opowiadajcie – mówię – jak przeżyliście ten koszmar okupacji.

Ojciec przywarł do mnie w uścisku.

– Nie zrobiłem ci wstydu, synu, nie podpisałem *Volks-*

liste.

Był z tego dumny, ja również.

Ileż ci moi rodzice nacierpieli się, pracując dla Niemców. Mama, mając sześćdziesiąt parę lat, zmarła, bo była styrana pracą ponad miarę. A w głowie kotłowały się trzy, najmłodszy, Auschwitz, drugi w innym lagrze, rodziny, został wywieziony na roboty w głąb Niemiec. Wiadomo, jak matka przeżywa, kiedy traci kontakt

z wszystkimi swoimi dziećmi, kiedy zupełnie nie wie, co się z nimi dzieje.

Mój kolega, druh, Władziu Gieldon, którego rodzice podpisali *Volksliste*, poszedł do armii. Zapędzono go na front, gdzieś pod Stalingradem zginął. Taki los spotkał wielu młodych chłopców, tylko dlatego, że ich rodzice się bali albo chcieli trochę łatwiej żyć. O tym, że syna zabiorą na front i tam zginie, nie pomyśleli.

Całą okupację, kiedy już byłem w partyzantce, zadawałem sobie pytanie, czy Niemcy w obozie, w związku z naszą ucieczką, rozwalili kogoś z naszych czy nie. Ciągle mnie to dręczyło.

Gdy wróciłem do Tczewa pytałem znajomych o Kiprońskiego:

– Może i Alkowi się udało, może wrócił?

Wrócił do Tczewa, do schorowanej matki. Zastałem go tam, gdzie wcześniej mieszkał.

– To ty? Numer 918?

– Jak widzisz – odpowiadam. – I ty, 801, przeżyłeś! Alek, pierwsze, co mi powiesz, to czy była rozwalka po naszej ucieczce, czy nie?

– Nie – usłyszałem z ulgą. – Nie masz jednak pojęcia, co działo się w obozie po waszej ucieczce – opowiadał Alek. – Furia. Latali, skakali, jeździli. Nasi, którzy pracowali w biurach, opowiadali, że fryce tak szaleli, że nawet delegację z Berlina do obozu przysłali, która miała zbadać, jak coś takiego było w ogóle możliwe. „Uciekają stłamszeni więźniowie?! – dziwili się. – Ci, którzy mieli być tylko do pracy! Oni wygrali z tą potęgą! Wyjechali samochodem SS?! Z bronią?! W esesmańskich

mundurach?!". Skandal. To było coś – opowiadał wciąż Alek – czego Niemcy nie potrafili w ogóle zrozumieć, czego ta „wierchuszka” w Berlinie nie potrafiła pojąć. „Co się stało?!” – pytali. – A jednak... Co było niemożliwe, stało się możliwe! Legendy krążyły po obozie o wazszej ucieczce.

– A ty, Alek, przesiadziałeś do końca? – spytałem.

– I mnie udało się czmychnąć. W połowie lipca 1942 roku znalazłem się w komandzie Porąbka. Tam robiliśmy drogę do esesmańskiego domu wczasowego. Był 22 września 1942 roku. Wzięli mnie ciężarówką po cement. Wskoczyłem w pełnym biegu. Siedzący naprzeciw esesman nie zdążył nawet odbezpieczyć broni. Trochę się poturbowałem, ale nie na tyle, żeby nie móc wiać. Przeżyłem w Czechach resztę okupacji – opowiada.

– Brawo! – mówię.

Alek przerwał milczenie:

– No wiesz, można nas zabić, lecz nie można nas złać.

Byłem dumny z niego. Tacy byliśmy!

Powoli wracaliśmy do „normy”, lecz w pamięci długo pozostał koszmarny piekła i dziś jeszcze w nas tkwi. Czy można zapomnieć Auschwitz? NIE! Czy można opowiedzieć o całej groźbie tego piekła? NIE!

Bo każdemu z nas, którzy przeżyli to piekło, pozostał w sercu, w duszy i w pamięci, jego fragment. I ta zadra pozostanie na zawsze.

Auschwitz – pisal bezimienny więzień – punkt na mapie, czarna plama w środku Europy. Ta ognista plama

ludzy, krwawa plama prochów. Dla setek tysięcy – miejsce bez nazwy. Z wszystkich krajów Europy jechały tam pociągi, załadowane setkami tysięcy ludzi, dla wielu była to stacja końcowa. Nawet nie wiedzieli, gdzie są. Wyładowywano ludzi z ich życiem, ich pamięcią, ich wielkim zdziwieniem, spojrzeniem, które stawiało tylko pytanie. Często ci ludzie nie widzieli niczego poza dymem, nim zostali spaleni...

Dziś już wiadomo. Po wielu latach to wiemy. Wiemy, że ten punkt na mapie to Auschwitz. Straszne, okrutne słowo. Przy jego dźwięku sumienie świata dostaje drgań. To miejsce, gdzie człowiek człowiekowi czynił coś takiego, co w żadnym języku świata nie zostało dotąd zdefiniowane. Auschwitz. Gigantyczny cmentarz bez grobów i bez krzyży, gdzie setki tysięcy ludzkich istot spoczywa w jednym grobie pełnym bezimiennych prochów. Miejsce, gdzie człowiek pokornie pochylał czoło przed wielkim majestatem śmierci i milczenia.

Czy kiedykolwiek – pisał ten sam nie znany mi świadek tych okropnych czasów – znowu tu będziemy albo może nie? Kto to jednak wie? Czy kiedyś będziemy myśleli, że był to zły sen?

Daleko, daleko. W tym Auschwitz, gdzie komin w Birkenau dymił, nieprzerwanie... Zawsze. Gdzie plonęły tysiące ludzkich ciał! Gdzie ludzi, których masowo tu zwożono, czekał gaz i krematorium – smuga dymu – znak, że byli tu, że żyli, ale pozostał po nich już tylko popiół. I pamięć...

Po wojnie trzeba było pracować i uczyć się. Zapisalem

się na studia, na Politechnikę. Zaliczyłem jeden semestr. Miałem jednak pecha.

Partyzanci walczący w podziemiu mieli po wojnie obowiązek dać o tym znać – według ustawy było to tak zwane „ujawnianie się”. Sam nie wiem, dlaczego tego nie zrobiłem. Nie wydawało mi się to wcale tak ważne. Myślałem, że mam dobrą opinię tam, gdzie pracowałem. Ale w każdym zakładzie była w tamtym czasie „wtyczka”, ktoś, kto meldował, co ten lub ów robi. Podpatrywał, węszył i donosił. Przeciwno mnie zebrano szereg argumentów, w dużej mierze je spreparowano.

Zarzuty były następujące: po pierwsze – sabotuję, po drugie – nie ujawniłem się, po trzecie – prowadzę krecią robotę, po czwarte – mam pistolet bez zezwolenia.

Ja nie miałem w domu żadnego pistoletu, nie byłem przecież w ciemnię bity. Cóż miałbym teraz robić z pistoletem. Partyzantka się skończyła. Myślałem przede wszystkim, żeby zdobyć jakies wykształcenie i ułożyć sobie w jakiś sposób życie.

Jednak, kiedy robiono u mnie rewizję, „znaleziono” pistolet. Byłem mocno obciążony. Zrobiono więc ze mnie sabotażystę, tego, który się nie ujawnił, wroga ludu, z bronią bez zezwolenia.

Dużo. Naprawdę dużo. Przy takich zarzutach można było dostać karę śmierci. Te wyroki zamieniane były na ogół na dożywocie, ale niektóre zostały wykonane. Ja dostałem bardzo łagodną karę – dziesięć lat.

Zacząłem od Gdańska, Sztumu, potem byłem również w kilku innych więzieniach. A pod koniec przeniesiono mnie do kopalni „Niwka”. Fedrowałem węgiel. Kiedy przeczucili nas do pracy w kopalni, nie narzekali-

śmy – wtedy było już jedzenia do syta. Lepiej było pracować. Nie myślałem wtedy o tym, że tracę życie. Jednak wypuścili mnie za dobre sprawowanie. Ale po siedmiu latach...

Tzrew. Pogodny dzień w środku lata. Stoję na cmentarzu przy grobach rodziców. Są niedaleko do parku. Okazja, by spojrzeć na głaz stojący na jego skraju, ku czci pamięci harcerzy zamordowanych bestialsko przez faszystów. Na kamieniu wyryte imiona i nazwiska pomordowanych. Moich przyjaciół – druhów. Przypomniało mi się powiedzenie Alka Kiprowskiego: „Można nas zabić, lecz nie można nas złamać”.

Kiedy to wszystko się skończyło, zorientowałem się, że mam trzydzieści parę lat i że młodości prawie nie miałem. Ukradli mi całą młodość – okupanci, a po wojnie – nasi „kochani czerwoni”.

Przeżyłem jednak. Jak pisze mój przyjaciel Zbyszek: „To palec Boży”. Tak to było. To Bóg mnie przeprowadził przez wszystkie te ciężkie lata.

A pozostali towarzysze mojej ucieczki? Otóż Staszek Jaster zginął podczas okupacji w Warszawie. Józek Lempart zginął w 1947 roku pod kołami autobusu w Wadowicach. Eugeniusz Bendera mieszkał po wojnie w Warszawie. Odwiedzaliśmy się wzajemnie. Albo on bywał u mnie w Gdańsku, albo ja u niego w Warszawie. Miał problemy w rodzinie, uzależnił się od alkoholu. Zmarł.